

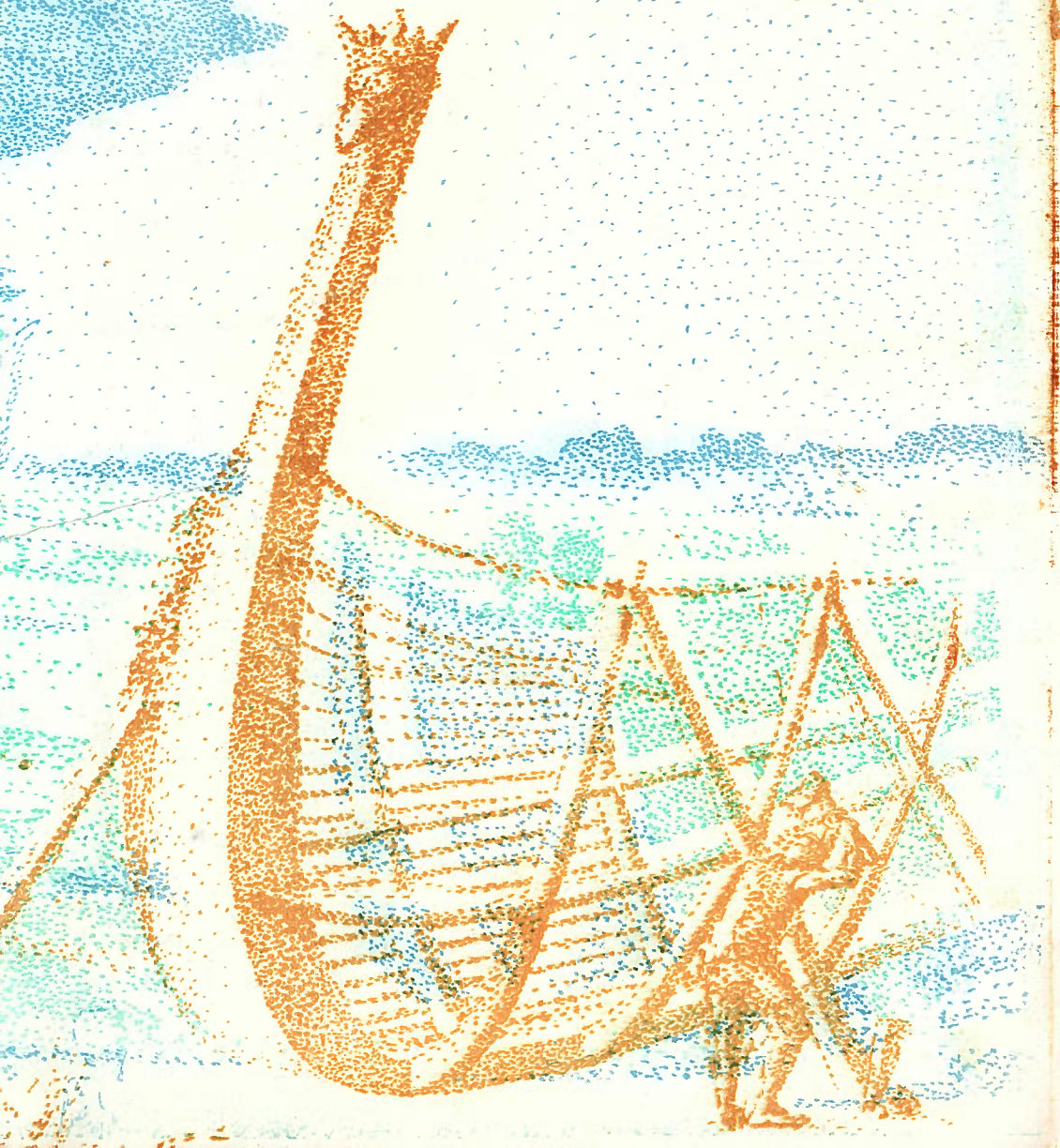
ZBIORY OŚRODKA KARTA

ZBIORY OŚRODKA KARTA

MYSŁI NIEINTERAKOWANE

NR 11 KRAKÓW I-II. 1984

80 zł



JAKI PROGRAM JEST NAM POTRZEBNY?

Za najgroźniejszą chorobę XX wieku uważa się - chyba szalenie - powstanie i funkcjonowanie totalitarnych systemów sprawowania władzy. O tym, jak straszna jest ta choroba, społeczeństwo polskie wie już od ponad trzydziestu lat, a wiedza ta jest tym bardziej gorzka i przygniatająca, że wiąże się nie z książkowo-publicystycznym doświadczeniem totalitaryzmu /jak to jest w większości przypadków na Zachodzie/, lecz z doświadczeniem bezpośrednim i dotykającym tak czy inaczej wszystkich Polaków. Najpierw było to doświadczenie totalitaryzmu hitlerowskiego, potem sowieckiego. O ile jednak reakcja społeczeństwa polskiego na hitleryzm była zdecydowana i masowa, to reakcja na komunizm była//i jest/ o wiele słabsza, nieskoordynowana i nie mająca charakteru masowego.

Przyczyn tak różnych reakcji na następujące po sobie totalitaryzmy było bardzo wiele: wyczerpanie się energii w walce z hitleryzmem, zniszczenie przez Hitlera i Stalina znacznej części elity społeczeństwa polskiego, "rozbrojenie" polskiej opinii publicznej układami w Teheranie, Jaskie i Poczdamie, niezdecydowanie Rządu w Londynie oraz chwiejna postawa niekomunistycznych partii politycznych działających w Polsce, początkowa "miękkosć" komunistów oraz ich ideologia - to niektóre z przyczyn różnych reakcji społeczeństwa polskiego na podobne zjawiska. Ważna wydaje się także postawa Zachodu, który hitleryzmowi wypowiedział zdecydowaną i konsekwentnie prowadzoną /choć spóźnioną o kilka lat/ walkę, z komunizmem zaś próbował niemal od początku nawiązać "romans". Nawiasem mówiąc, romans ten przypomina krótkotrwałe gody modliszek, przy czym nie ma chyba wątpliwości kto jest naiwnym i ślepy na niebezpieczeństwo samcem, a kto zachłanną i bezwzględną samicą.

Sytuacja, w jakiej znaleźli się Polacy, a jaka powstała po "sprzedaniu" Polski przez Zachód w Jaskie, była bardzo niejasna, przynajmniej przez kilka pierwszych lat istnienia PRL. Formalnie mieliśmy nasze terytorium, nasze państwo, nasz parlament, naszą politykę zagraniczną, naszą armię itd. Ale wszystko to było "nasze" tylko formalnie, bo w istocie społeczeństwo polskie właściwie o niczym nie decydowało. Nawet język kształtowany i reglamentowany był przez komunistów zgodnie z ich potrzebami i celami. Nie działało się tak z pewnością dlatego, że Bierut wraz z Politbiurem i wysokimi funkcjonariuszami UB postanowili samodzielnie uczynić z Polski kraj komunistycznej szczególności. Musimy pamiętać, że komunistyczna władza dotarła do Polski za plecami i bagnętami Armii Czerwonej - i do dziś komuniści rządzą w Polsce głównie dlatego, że stoi za nimi potęga sowieckiego imperium. Odkąd komuniści sowieccy ulokowali w Polsce "naszych" rodzinnych komunistów, odtąd wszelkie istotne decyzje podejmowane przez tych ostatnich muszą mieć akceptację ich dobroczyńców i mocodawców, tj. ekipy aktualnie rezydującej na Kremlu. Dla-

tego też wszelkie rozważania czy programy p o l i t y c z n e opozycji polskiej muszą brać pod uwagę dwa podstawowe fakty:

- po pierwsze, że Polska nie jest krajem niepodległym, tzn. wszystkie ważne decyzje podejmowane przez władze PRL, a dotyczące bądź spraw wewnętrznych, bądź zagranicznych, zależą w większym lub mniejszym stopniu od Kremla,
- po drugie, że społeczeństwo polskie nie jest podmiotem /tj. nie może podejmować istotnych dla siebie decyzji/ ani w sferze politycznej, ani w sferze ekonomicznej, ani w żadnej innej dziedzinie życia społecznego.

Z faktów tych opozycja może wyciągnąć - w zależności od prognoz dotyczących przyszłości - różne wnioski i proponować różne sposoby działania. Tutaj zajmiemy się tylko dwiema koncepcjami proponowanymi obecnie przez polską opozycję. Ograniczenie to wynika z przekonania, że aktualnie tylko te dwie propozycje mają szansę stać się autentycznymi programami politycznymi, a ponadto wyrażają one dwa główne nurty myślenia o rzeczywistości polskiej i o możliwościach jej zmiany.

! Pierwszą z tych propozycji nazwać można "porozumieniową". Jej przedstawicielami jest większość podziemnych struktur "Solidarności", natomiast w przeszłości rzecznikiem tej linii był m.in. KOR i ROPCIÓ. Ten typ organizacji opozycyjnych jest najliczniejszy i cieszący się aktualnie sympatią wielu Polaków.

Fundamentalnym założeniem koncepcji porozumieniowej jest przekonanie o niemożliwości zmiany struktury geopolitycznej Europy, powstałej po II wojnie światowej oraz o możliwości zreformowania komunizmu. Za myślą o ułożeniu bardziej racjonalnych, niż dotąd obowiązujących, stosunków polityczno-ekonomicznych, przy jednoczesnym pozostaniu Polski w strukturze Układu Warszawskiego i RWPG, kryje się przekonanie o tym, że żywot komunizmu będzie bardzo długi. A skoro w dającej się przewidzieć przyszłości niemożliwe jest całkowite "wyleczenie się" z komunizmu, należy zatem stosować politykę małych kroków i wykorzystywać wszystkie - choćby najbardziej nikłe - możliwości rozluźnienia i osłabienia represyjności systemu. Orientacja porozumieniowa zakłada więc, że komuniści:

albo będą chcieli, gdyż uda się ich przekonać,
albo będą musieli, na skutek sytuacji wewnętrznej lub zewnętrznej p o d z i e l i ć s i ę w ł a d z ą, tzn. pozwolą, by społeczeństwo uzyskało pewien stopień wolności w którejś z ważnych sfer życia społecznego /np. w sferze ekonomicznej/, lub pozwolą, by społeczeństwo kontrolowało władzę w pewnym zakresie.

Ponadto, u podstaw tej koncepcji leży przekonanie, że Moskwa pozwoli "naszym" komunistom zawrzeć trwały kompromis ze społeczeństwem. Celem walki i działania opozycyjnego jest tu więc stworzenie /a po 13 grudnia - odtworzenie/ warunków umożliwiających zawarcie kompromisu. Skutkiem takiej postawy jest kierowanie przez opozycję porozumieniową swego działania i propozycji zarówno do społeczeństwa, jak i do władzy.

Jak już o tym była mowa, organizacje i grupy opozycji porozumieniowej chcą wykorzystywać każdą możliwość uzyskania od władzy komunistycznej koncesji na rzecz społeczeństwa, dlatego też bardzo istotną częścią jej programu i działania jest śledzenie czy /i jak/ władza przestrzega praw, które sama ustanowiła. Opozycja, której poświęcona jest ta część rozważań, stara się w ogóle sytuować swą działalność w ramach obowiązującego w Polsce systemu prawnopolitycznego. Stąd deklarowana przez ów ruch apolityczność, tendencja do jawnego działania oraz częste powoływanie się na ustalone przez władzę prawa lub podjęte przez władzę międzynarodowe zobowiązania.

Główną więc bronią tej części opozycji jest informowanie krajowej i światowej opinii publicznej o konkretnych faktach łamania przez władzę obowiązujących praw, niesienie pomocy poszkodowanym i represjonowanym oraz prowadzenie działalności wydawniczo-samokształceniowej.

Takie cele i takie metody działania z natury rzeczy nie wymagają formułowania jasnego i konkretnego programu, tworzenia zwartych organizacji ani istnienia jakiegos głównego ośrodka dyspozycyjnego. Dlatego też opozycja porozumieniowa miała i ma charakter federacyjny, poszczególne grupy są samodzielne i same określają swą aktualną taktykę, zaś działacze wywodzący się z tej orientacji skupiają się na bieżących problemach /można ich porównać do XIX-wiecznych pozytywistów/.

Na zakończenie tych rozważań spróbujmy spojrzeć przez chwilę krytycznie na program - jego cele i założenia - porozumieniowy. Zanim to uczynimy, należy przypomnieć, że program ten odniósł już niewątpliwie, choć krótkotrwały, sukces - było nim doprowadzenie do powstania i funkcjonowania "Solidarności".

Podstawową wątpliwością narzucającą się przy analizowaniu i ocenie programu porozumieniowego jest pytanie o to, czy długotrwały kompromis między władzą komunistyczną a społeczeństwem jest w ogóle możliwy? Ponad 60-letnia historia komunizmu wydaje się w sposób przekonywujący odpowiadać negatywnie na to pytanie. Wszystkie NRP-y, odwilże i odnowy zawsze kończyły się tym samym akordem: po umocnieniu się i konsolidacji komunistów zawsze przestawali - w sposób mniej lub bardziej gwałtowny - rozmawiać ze społeczeństwem czy choćby tylko słuchać jego głosu /nb. jedynym chyba wypadkiem w ciągu 66-letniej historii komunizmu, kiedy władza rzeczywiście rozmawiała ze społeczeństwem, był okres "Solidarności"/.

Za niemożliwością istnienia długotrwałego kompromisu przemawia również istota i styl sprawowania władzy przez komunistów w ogóle. Ideologia marksizmu-leninizmu daje bowiem komunistom patent na nieomyślność i wyłączność w decydowaniu o wszystkim, co istotne w życiu społecznym. Na mocy tej ideologii /wzmocnionej "autorytetem" sił bezpieczeństwa i wojska/ tylko komunisty mają prawo sprawować władzę, natomiast nikt nie ma prawa tej władzy kontrolować. Zasada ta funkcjonuje w świadomości komunistów jako aksjomat: zrezygnowanie z niego sypcha automatycznie komunistów na pozycję równającą ich z innymi obywatelami. Jakakolwiek próba ograniczenia zasady wyłączności i nieskon-

trolowalności odbierana jest przez komunistów jako zamach na ich prawa i ich państwo. Dlatego reakcja komunistów będzie równie twar- da i zdecydowana zarówno w stosunku do prób tworzenia wolnych zwią- zków zawodowych, jak i w stosunku do organizacji opozycyjnych o pro- filu czysto politycznym, gdyż dla władzy totalitarnej każdy przejaw niezależności i autentyczności jest równie niebezpieczny.

Na koniec jeszcze jedna uwaga: formalnym wymogiem porozumie- nia między dwiema stronami konfliktu jest istnienie wspólnego języ- ka. Gdy stronami są z jednej strony komuniści, z drugiej - społeczeń- stwo, możliwość takiego języka teoretycznie istnieje - i można so- bie wyobrazić, że komuniści przestaną kiedyś dialektycznie żonglować pojęciami i terminami, ale na to musieliby przestać być komunistami, tzn. ludźmi, dla których jedyną istotną wartością jest władza. Istnie- je też inne, orwellowskie wyjście: takie mianowicie, że społeczeństwo i opozycja zaczną używać dialektycznej gwary komunistów.

|| Drugą koncepcją prowadzenia działalności opozycyjnej jest program, który określić można jako "niepodległościowy". Jest to program czysto polityczny i świadomie jako taki określający się, tzn. sytuujący swe cele w sferze władzy. Podstawo- wym, strategicznym celem ruchu niepodległościowego jest obalenie to- talitarnej władzy i stworzenie warunków umożliwiających zbudowanie demokratycznego systemu społecznego.

Z owych, wymienionych na początku, dwóch faktów dotyczących polskiej rzeczywistości politycznej opozycja niepodległościowa wy- ciągnęła wnioski radykalne i "ostateczne". Wynika to przede wszystkim z założenia, iż współczesne nam czasy są schyłkowym okresem komuniz- mu, tj. iż kres komunizmu nastąpi w dającej przewidzieć się przyszło- ści. Sąd taki ma istotne konsekwencje przy określaniu celów i metod działania opozycji niepodległościowej /która - jak dotąd - jest nie- liczna i nie ma masowego poparcia społecznego/. Skoro bowiem komunizm zaczyna wchodzić w okres rozkładu, to w naszym /społeczeństwa/ inte- resie leży dopomożenie mu w jak najszybszym zakończeniu jego żywota oraz przygotowanie się zawczasu na moment, w którym społeczeństwo od- zyska głos decydujący o swym własnym losie. Proponowane działania zo- rientowane są więc i na chwilę bieżącą, i w przyszłość, gdyż propozy- cje i działania zmierzające do stworzenia opozycyjnej struktury poli- tycznej mają dwa cele:

- po pierwsze - tworzenie autentycznych, a nie fasadowych, or- ganizacji politycznych, tj. partii i programów nośnych i ak- ceptowanych przez społeczeństwo, co ma za zadanie wytworze- nie normalnej kadry politycznej, która kierować będzie funk- cjonowaniem demokratycznej struktury politycznej; kryje się za tym także głęboka myśl o zaspokojeniu naturalnej potrzeby zrzeszania się ludzi mających podobne poglądy polityczne oraz zorganizowanego i czynnego wyrażania swych dążeń,
- po drugie - bieżąca działalność polityczna oraz zmierzanie do utworzenia demokratycznej struktury politycznej ma na ce- lu zapobieżenie sytuacji, w której - po zniknięciu władzy

komunistycznej, kontrolującej wszystkie "urządzenia" społeczne - powstanie całkowita próżnia polityczna, gdyż brak będzie jakiegokolwiek organizacji politycznych mogących zastąpić komunistyczną administrację; jak więc widać, nadzieja na stosunkowo szybkie i całkowite obalenie komunizmu wiąże się tu z obawą przed zupełną anarchią, jaka może powstać po zniknięciu komunizmu.

Dążenie opozycji niepodległościowej do zorganizowania /instytucjonalizacji/ opozycyjnego ruchu politycznego wynika zarówno z przekonania o konieczności otwartego podważania prawomocności władzy komunistycznej, jak i z chęci uczynienia społeczeństwa podmiotem politycznym. Powołanie do życia demokratycznej struktury politycznej ma być pierwszym etapem tego upodmiotowienia. Opozycja niepodległościowa nie ma bowiem na celu reformowania komunizmu /gdyż uważa to za rzecz niemożliwą/, lecz przygotowanie społeczeństwa na obalenie systemu komunistycznego. Prowadzi do tego głównie droga politycznej aktywizacji społeczeństwa, zaś elementem tego procesu jest m.in. formułowanie programów politycznych oraz szeroka dyskusja na ich temat. Wyłożona w ciągu tego procesu kadra polityczna i organizacje polityczne /partie/ mają w przyszłości - po obaleniu lub samodzielnym rozpadzie komunizmu - przejąć władzę i doprowadzić do ugruntowania demokratycznego systemu społecznego.

Przesłanką takiej koncepcji opozycyjnego działania jest przekonanie, iż długotrwały kompromis między totalitarną władzą a społeczeństwem jest niemożliwy, natomiast kompromis krótkotrwały jest bezwartościowy i przynoszący społeczeństwu i opozycji więcej szkód, niż otwarte podważenie legalności komunizmu, świadome dążenie do przejęcia władzy i wypracowanie bezkompromisowych programów oraz metod działania. Maksymalizm polityczny tej koncepcji, tzn. jasne sformułowanie postulatu odzyskania niepodległości przez Polskę oraz zlikwidowania komunistycznego systemu społecznego, porównać można do podobnie maksymalistycznych programów wysuwanych przez polskich romantyków w XIX wieku. Analogia jest tym bardziej widoczna, że obecnie również kwestia narodowa /odzyskanie niepodległości/ ściśle związana jest z kwestią społeczną /zlikwidowanie "socjalistycznego sposobu panowania człowieka nad człowiekiem", jakby powiedział prof. Leszek Nowak/. Samo odzyskanie niepodległości nie jest więc celem ostatecznym, lecz środkiem stwarzającym możliwość zmiany stosunków społecznych i struktury polityczno-ekonomicznej społeczeństwa polskiego - gdyż dopóki Polska jest tylko jedną z sowieckich republik, dopóty szanse na demokratyzację prawie nie istnieją.

Tak szeroki program i tak ambitne politycznie cele stwarzają oczywiście konieczność prowadzenia adekwatnych działań. Wyżania się więc, o czym już wcześniej była mowa, potrzeba stworzenia tu i teraz demokratycznej /a także "antikomunistycznej" / demokratycznej struktury politycznej, przeprowadzania akcji politycznych i propagandowych, powołania oficjalnych przedstawicielstw na Zachodzie, współpracowania z ruchami opozycyjnymi działającymi w innych krajach bloku sowiec-

kiego itp. Skala i zakres tych działań są, jak widać, zupełnie inne niż w przypadku programu porozumieniowego. Aktywny uczestnik opozycji niepodległościowej będzie w swym działaniu i myśleniu kierował się przede wszystkim kategoriami i koncepcjami politycznymi, koncentrując się na tym, co przyczynić się może do uwolnienia Polski od zależności sowieckiej oraz do przywrócenia demokracji.

Najważniejszym zatem aktualnie zadaniem działaczy opozycji niepodległościowej jest przekonanie opinii publicznej, że konieczne jest utworzenie demokratycznego systemu partii politycznych, świadomych swych celów. Nie jest to wcale zadanie łatwe, gdyż w społeczeństwach rządzonych przez komunistów funkcjonuje bardzo silnie zakorzeniona niechęć do "mieszania się do polityki", a działalność polityczna - z racji zupełnego jej zawłaszczenia przez komunistów - uznawana jest powszechnie za rzecz "brudną" i mającą podejrzaną cele. Przekłamanie tego stereotypu jest już samo w sobie zadaniem ogromnym, a trzeba pamiętać jeszcze o tym, że opozycja niepodległościowa znajduje się w początkowym okresie swego świadomego i organizacyjnego istnienia, narażona jest więc na ostrą reakcję władzy, która chciała będzie zdusić ruch niepodległościowy już w zarodku. Ponadto, jak można zorientować się czytając podziemną prasę, opozycja porozumieniowa nie jest zbyt przychylna temu typowi działalności opozycyjnej.

Wydaje się, że podstawową słabością niepodległościowego nurtu opozycyjnego jest prawdopodobnie to, że proponowany program i cele nie trafiają na podatny grunt, tj. odbierane są i przez większość opozycji, i przez większość społeczeństwa /zdominowanego przez opozycję porozumieniową/ jako zbyt radykalne i wygórowane w stosunku do aktualnych warunków i możliwości polskiego ruchu opozycyjnego. Szanse na zainteresowanie programem niepodległościowym społeczeństwa polskiego są tym mniejsze, że Polacy noszą w sobie żywe i bliskie doświadczenie "Solidarności", z którą związana była /i jest nadal/ większość społeczeństwa i właściwie cała przedgrudniowa opozycja. Wszystkie więc propozycje nie nawiązujące do tradycji "Solidarności" traktowane są jako obce i rozbijające ruch opozycyjny.

Celem powyższych rozważań o dwóch nurtach uprawiania działalności opozycyjnej w Polsce było nie tylko przedstawienie różnych koncepcji i programów opozycji, ale także próba odpowiedzi na pytanie: czy programy te wykluczają się wzajemnie, tj. czy w płaszczyźnie ideowo-programowej i organizacyjnej opozycja polska może być /i być powinna/ pluralistyczna? Od odpowiedzi na to pytanie zależy kształt przyszłej opozycji w Polsce oraz formy współistnienia różnych organizacji i grup opozycyjnych. Jest to jednak temat do osobnych rozważań.

Kazimierz Nowy

Waród może mieć jedną duszę, jedno serce, jedną pierś,
którą nadstawia, ale biała, gdy ma tylko jeden mózg.

PRZEWYCIĘŻANIE

/Tekst, którego autorem jest W. COPPI, jest tłumaczeniem z "LITERATURNÓJ GAZIETY" z dnia 12 października 1983 roku - nr 41/4159./

KWIATY I PŁODY EDUKACJI

Wspaniała kwaciarnia. Róże, piwonie, anemcny, irysy, chryzantemy, fiołki, orchidee, goździki i jeszcze jakieś wyszukane kwiaty, których nawet nie potrafię nazwać. Czy przyciąga afisz na szybie z zewnątrz: "Ruiny - kabaret młodzieżowy. Towarzystwo wzajemnej tolerancji". Terminologia znana...

Nacieszyć się "Ruinami" nie udało mi się - przedstawicieli tolerancji w tym czasie już nie było. Zato sporo udało mi się usłyszeć i dowiedzieć o tym, co było w niedalekiej przeszłości i o tym co doprowadziło do takich spustoszeń w świadomości współczesnej polskiej młodzieży.

- W naszych uczelniach w okresie poprzedzającym kontrrewolucyjny wybuch, "zapomniano" - mówił mi pisarz Wiesław Rogowski, red. naczelny tygodnika "Argumenty", - że kształcenie socjalistycznych kadr dla socjalistycznego państwa oznacza przede wszystkim kształtowanie ich światopoglądu w socjalistycznym duchu. Z młodzieżą obnoszono się, młodzież hołubiono: ty nasza świetlana przyszłość. A ona, ta przyszłość, stając się teźniejszością, nawet nie zdążyła pojąć, w jakim świecie i do jakich zadań rośła. Ze smutkiem, z bólem trzeba stwierdzić: wielu młodych Polaków ma często bardzo mgliste albo wręcz błędne, fałszywe wyobrażenie o tym, co to jest socjalizm.

- Ale przecież i po dziś dzień są tacy, którzy twierdzą, że socjalistyczna Polska bez pluralizmu koncepcji ideologicznych nie ostoi się.

- To mówią różni ludzie różne intencje mając na myśli. Jestem gorącym zwolennikiem przyjacielskich dyskusji ułatwiających optymalne rozstrzygnięcie ważnych dla socjalizmu problemów. Sporów nie należy się bać. Trzeba spierać się kierując się partyjnymi pryncypiami i nie rezygnując z nich nigdy. Pluraliści natomiast - mówił Wiesław Rogowski - pragnęliby rozcieńczyć te pryncypia będące dla naszej socjalistycznej ojczyzny jedynie słusznymi drogowskazami, w nieodpowiedzialnej paplaninie.

W połowie sierpnia, zaledwie trzy tygodnie po zniesieniu stanu wojennego, kontrrewolucyjne elementy, wykorzystując uroczystości religijne w Częstochowie, zorganizowały nową prowokację. Jak stwierdziła "Trybuna Ludu", najaktywniejszy w niej udział wzięli działacze tzw. "oaz" - organizacji kształtujących umysły młodych Polaków w klerykalnym duchu. Miasto było zapakowane plakatami, transparentami skwiałymi takie organizacje jak KOS-KOR, KPN, "Solidarność", NWS. U stóp jasnogórskiego klasztoru rozklejano plakaty z apelami o "zjednoczenie Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców w walce o ideały chrześcijańskie", o "ratowanie bratnich narodów"...

SPOTKANIE PRZY ULICY MOLIERA

Fakty takie nie pojawiają się spontanicznie. Jeśli do połowy lat 70-tych nauki społeczne zajmowały w programach uczelnianych ok. 10-15% godzin dydaktycznych, to na początku 80-tych ilość ich spadła do 2-3%. W dodatku za tym bardzo nieprecyzyjnym pojęciem - "nauki społeczne" - mogły się kryć Bóg wie jakie rzeczy. Studenci sami decydowali, czego się uczyć i co studiować. Z podszeptu "nauczycieli" wybierali np. zamiast materializmu historycznego buddyzm, zamiast ekonomii politycznej socjalizmu sztukę średniowiecznej Anglii... Wykładowców filozofii marksistowskiej, którzy nie potrafili lub nie chcieli przekwalifikować się na "buddystów" zwalniano. Tymczasem w podziemnych "uniwersytetach latających" wykładano pełny kurs antykomunizmu i antysowietyzmu. Niemalże studentów, łączących te dwa równoległe programy, stało się wojującymi przeciwnikami socjalizmu.

Jednakowoż obiegowe przekonanie "młode pokolenie Polaków jest stracone dla socjalizmu" było rozpowszechniane przez tych, którzy, biorąc życzenie za rzeczywistość, pragnęliby wszystkich przekonać o tym, iż młode pokolenie zostało zawojowane przez antysocjalizm. Oczywiście, tak nie jest. Niedawny Zlot młodzieży w Gdańsku i spotkanie młodych bojowników o pokój we Wrocławiu świadczą dość wymownie o tym, że coraz więcej młodych Polaków uświadamia sobie swą odpowiedzialność przed społeczeństwem, które stworzyło im najszerze możliwości dla samorealizacji, dla aktywnego i owocnego udziału w budownictwie socjalizmu. Chociaż trzeba będzie jeszcze wiele wysiłku, by na miejscu ruin zbudować nowy świat.

Grupa literatów wyznających reakcyjne i antykomunistyczne poglądy, która na fali kontrrewolucji opanowała kierownictwo ZLP bezapelacyjnie poparła kontrrewolucyjny program "reedukacji Polaków", który wysunęła wierzchołka "Solidarności".

Działalność związku pisarzy zawieszono w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Uzurpujący sobie władzę literaci mieli czas, którego nie wykorzystali dla przemyslenia tak niedawnej a tak przecież pouczającej przeszłości.

Na odbytym niedawno w Warszawie zebraniu przedstawiciele literackich środowisk Polski został powołany komitet założycielski nowego związku pisarzy.

W Warszawie, w jednym z domów przy ul. Moliera, która biegnie koło Teatru Wielkiego, mieszka Józef Lenart - prozaik, dramaturg, publicysta. Pierwszy sekretarz organizacji partyjnej warszawskich pisarzy. Jego oceny sytuacji powstałej obecnie w sferze kultury i ideologii wysłuchałem ze szczególnym zainteresowaniem również i dlatego, że pod koniec lutego tego roku był on jednym z głównych inicjatorów odtworzenia związku pisarzy. Inicjatywa ta spotkała się z gwałtownym bojkotem ze strony reakcyjnego zarządu związku.

- W dwóch słowach o naszych obecnych kłopotach nie da się opowiedzieć. Problem jest wieloaspektowy. Gdyby tak skrótowo, to źródło choroby środowiska literackiego polega na tym, iż polityka kulturalna lat 70-tych była w zasadniczej części pozbawiona kryteriów klasowych. Krytyczna myśl marksis-

torach ledwie świtaka. Na plan pierwszy z coraz większą pewnością siebie wysuwał się światopogląd burżnożyjny oślepiając tych, którzy oślepnąć chcieli. Praktycznie ustało kształcenie literaturoznawców, pracowników ideologicznych stojących na gruncie socjalizmu naukowego. Atak rewizjonizmu wewnątrz kraju był ukatrycny również przez to, że dysponował on potężnym i dobrze zorganizowanym zapleczem.

Zachód bez przeszkód podrzucał "świeże" antykomunistyczne idee, podkarmiał tych, którzy owe "nowatorskie" idee pochwytywali i ukazywali w swej twórczości. Zachód decydował o losie artysty: utalentowany - nieutalentowany, wielki - mały. Dla wielu tylko opinia ze strony zachodnich bynajmniej nie bezinteresownych "mecenasów" i "filantropów" stała się jedyną skalą i jedynym warunkiem sukcesu.

- Ot, był sobie taki śałosny prowokator Jacek Bieriezin. Rymował jako-tako swe marne antysocjalistyczne "proroctwa". Znajdował niewybrednych redaktorów, którzy mu je od czasu do czasu drukowali. Żyłby sobie nikomu nie znany, gdyby nie wydawany w Paryżu przez polskich antykomunistów - najmitów CIA tygodnik "Kultura" który zebrał tę, z przeproszeniem poezję i wydał ją w osobnym zbiorku pod tytułem "Wam!". I co pan myśli? Zarząd, kierowany przez Jana Józefa Szczepańskiego, natychmiast, z pogwałceniem wszystkich statutowych norm, pasował "poetę" na członka związku. Anka Kowalska została literacką znakomitością tylko dlatego, że należała do najgorliwszych aktywistów kontrrewolucyjnego ugrupowania KOB-KOR. Jacek Boczeński ujawnił się jako redaktor naczelny podziemnego czasopiśma "Zapis"... Ten spis świeżo wysmarowanych "Klasyków" można

bez końca poszerzać.

Po tamtej stronie barykady znaleźli się również, kontynuował Józef Lenart, autentycznie utalentowani twórcy, którzy zbłądzili w ciemnościach ideowego zamętu. Tragizm artystów wyrzekających się losów swego narodu polega na tym, iż ich talent, warsztat ich, stają się bezpożądne, niepotrzebne, zbędne. Być może to i dobrze, że "Danton" Andrzeja Wajdy pojawił się na polskich ekranach. Wszyscy przekonali się, do jakiej leniwy doprowadzić musi idea niewybredność i nieoculność.

Do dzisiaj z kamów poważnych wydawnictw oferuje się nam światopoglądowy pluralizm. Reklamuje się go jako niezawodny środek w rozstrzygnięciu sprzecznych racji. To dla zupełnie naiwnych i apolitycznych ludzi. Nie ich to wina, raczej - nieszczęście. W pewnym stopniu nasza to również wina. Ponieważ w Polsce nierzadko lekceważyliśmy problemy pracy ideologicznej. Wznosić ekonomiczne podstawy socjalizmu to trudne zagadnienie. Lecz, jak się okazuje, wznosić jego nadbudowę ideologiczną, bez której całego gmachu nie da się doprowadzić pod dach, to też niełatwe zadanie. Uświadomiliśmy to sobie, niestety, dość późno. Dziś płacimy za to, spieszymy się i nadrabiamy zaległości. Będzie to wymagało wiele wysiłku. Zajmie to całe życie z pewnością. Ale żyć dla tego warto. Należy pracować.

O TYM, JAK WAJDA SAM SIĘ ZGILOTYNOWAŁ

Bilet na film A. Wajdy "Danton" kupiłem wcześniej. Przewidywałem, że moja okazja okazała się zbyt dobrą. Sala wypełniona była ledwie w trzeciej części, co już zadawało kłopot

twierdzeniom akredytowanym w Warszawianach zachodnich korespondentów o podnieceniu, jakie opanoowało Polaków z okazji wyświetlania filmu, o tym, że ludzie szturmują kina. Nie szturmowali. Ale co najbardziej zadziwiające - w filmie ani śladu rewolucyjnego ludu Paryża, który nawet kamienia nie pozostawił po Bastylli. Czy dumnych sankiulotów można rozpoznać w objętych statystach ustawiających się w beznadziejnie długie kolejki za chlebem! Wielka rewolucja burżuazyjna interpretowana jest przez A. Wajdę bardzo dowolnie. Sztynie wciśnięta w kleszcze konfliktu Danton - Robespierre traci wszelki sens historyczny.

Znakomity aktor francuski Gerard Depardieu wychodzi z siebie, rozpaczliwie usiłując tętnąć życie w martwy schemat napisanej dla niego roli Dantona. Pokornie, ulegając reżyserowi, wypowiada hasła z leksykonu "Solidarności". "Naród ma jednego wroga - rząd". Ale nawet wielbiciele Wajdy nie przyklaskują tym grupin "aktualnym" wypowiedziom. W ciągu całego seansu odczuwa się zakłopotowanie, nawet niesmak. Członkowie Komitetu Ocalenia Narodowego - to żałosne, nigdy nie trzeźwiejące pijaczyny. Robespierre, którego gra polski aktor Wojciech Pszoniak, malowniczo demonstruje swą śmiertelną siłą błądź, z wdziękiem oblewa się zimnym potem. Z Nieprzekupnego, jak nazywano Robespierre'a, Wajda zrobił niepczytalnego Trybuna, wódz rewolucji, występujący w tych złożonych historycznych wydarzeniach przeciwko temu, by burżuazja przywłaszczyła sobie owoce rewolucji ze szkodą dla ludu, który jej dokonał, ukazuje się jako wcielenie zła. Morał, ku któremu zdąża Wajda: rewolucja to nieszczęście, rewolucja to wyłącznie terror. A więc niech żyje kontrrewolucja.

Finałowa scena filmu. Danton do kata: "Kiedy odetniesz mi głowę, pokaż ją ludziom. Warta jest tego". Opada nóż gilotyny. Głowa uderza o dno kosza. Drugo leje się czerwona farba. Kat spełnia życzenie skazańca. Wyciąga z kosza za włosy głowę i pokazuje - widzimy ją z tyłu - tłumowi... Okropność? Skądże! Raczej - wstyd za reżysera.

Wśród zasług Wajdy dla opozycji antysocjalistycznej "Danton" nie zajmuje pierwszego miejsca. Był paszkwil na socjalistyczną Polskę "Człowiek z marmuru". Zaraz za nim "Człowiek z żelaza" - reklamowy popis kontrrewolucji. "Dantonem" Wajda sam się zgilotynował.

Prasa polska ogólnie negatywnie oceniła film Wajdy, dając mu taktownie do zrozumienia, iż jego rodadcy też znają się na historii. Mistrz podobną opinię, jak wszystko wskazuje, zignorował. Powiedział: przecież kiedyś do swego przyjaciela - dziennikarza D. Passenta, że recenzje ze swych filmów będzie czytał tylko na emeryturze. Szkoda, bo mógłby się wiele nauczyć również z tych bezwzględnie i bezlitośnie oceniających jego dzieło artykułów, w jakie obfitowała, z okazji pojawienia się "Dantona" na paryskich ekranach, prasa francuska, szczególnie orientacji lewicowej.

Paradoks sytuacji polega na tym, że we Francji, która szykuje się już do dwóchsetnego jubileuszu swojej rewolucji, nie ma ani jednego filmu na jej temat. A Wajda bez skrupułów i z nieukrywaną chełpliwością określił swę "arcydzieło" jako "film francuski". Należy stwierdzić, iż pewne formalne podstawy po temu miał. Choćby np. taki fakt, że w czołówce filmu zostały odnotowane: na zamówienie ministerstwa kultury Francji. Tak też

było. Rząd francuski z niezwykłą szczodrobliwością, wbrew polityce oszczędnościowej, subsydował powstanie tej zalobnej karykatury. Zakłopotanie socjalistów /a minister kultury to jeden z przywódców partii socjalistycznej/ uznających się za spadkobierców ideałów 1789 roku, było wielkie. Wyrażali swój gniew i niezadowolenie, że dali się zjechać w pułapkę zastawioną przez polską kontrrewolucję i francuską prawicę. Ale sprawa była już zaklepana i nawet najjadliwsza krytyka nie była w stanie osłabić jej zgubnego efektu.

• • •

... Polska przeżywa aktualnie trudny etap walki o umocnienie socjalizmu, o przezwyciężenie kryzysowych zjawisk we wszystkich sferach życia. Są wszelkie podstawy sądzić, że nasi polscy przyjaciele wyjdą z tej walki zwycięsko.

(W Coppi)

POST SCRIPTUM od tłumacza czyli historyjka z morałem

Lektura publikacji "Literaturnej Gazety" na polskie tematy jest przeżyciem specyficznym i to z wielu względów. Nie tylko dlatego, że to najbardziej fantastyczne ze wszystkich bredni. Jakże kiedykolwiek wypisywano i wypisuje się na temat Polski okresu "Solidarności" w prasie ZSRR. Również dlatego, że brednie te są nabożnie w Warszawie odbierane i do szybkiego wdrażania kierowane. Towarzysz Coppi był w Gdańsku, Warszawie, Krakowie, Nowej Hucie. Dokładnie rok temu odwiedził Kraków, doniósł też o niezdrowej atmosferze w podwawels-

kim grodzia, m.in. na przykładzie miesięcznika "Zdanie", w którym znalazły schronienie kontrrewolucyjne szumowiny w rodzaju Macieja Szumowskiego. Efekt był natychmiastowy i sytuacja została znormalizowana: zdjęto naczelnego "Zdania" Zbigniewa Reguckiego.

Trzeba teraz być przygotowanym, że jeśli Urban bądź Rakowski coś mądrego w najbliższym czasie powiedzą o Wajdzie i jego "Dantonie", będzie to zapewne powtórka opinii tow. Coppiego, którą właśnie tu zamieszczamy. Na tym odcinku winniśmy być również lepiej i wcześniej poinformowani od nich. "Literaturnej Gazetę" czytać warto również ze względów estetycznych: jest to literatura czystego absurdu, w której wszystko lub prawie wszystko jest zryśnione.

Serwis zagraniczny tygodnika jest kierowany i inspirowany przez KGB. Taki inspirowany charakter miały pierwsze paszkwile o "Solidarności" na jego łamach jeszcze w jesieni 80 roku. Pisał je wtedy autor o bardzo tu pasującym nazwisku: Andronow. Parę miesięcy później "Lit. Gazeta" zamieściła jego anchrony z Afganistanu. Teraz Andronow działa na Zachodzie i właśnie czas opowiedzieć pouczającą historyjkę, jaka przydarzyła się tu ra dzieckim towarzyszom.

W n-rze z 12-go października, gdzie właśnie wystąpił tow. Coppi, redakcja zamieściła ostre w tonie oświadczenie w sprawie zaginięcia we Włoszech jej współpracownika, Olega Bitowa, wysłanego na festiwal filmowy w Wenecji i już 40 dni nie dającego znaku życia. Domagano się od Włochów wyjaśnienia sprawy insynuując nawet jakąś krwawą polityczną zemstę ze strony - ma się rozumieć! - CIA i radia "Swoboda" /rosyjski odpowiednik naszej "Polnej Europy"/. W n-rze następnym znaleźliśmy list otwarty matki zaginionego, Olgi Kiedrowej-Bitowej,

do włoskiego ministra sprawiedliwości.

Rozpacz matki, obawa o los syna jest oczywiście zrozumiała, ale w zbyt nachalny sposób ręka "autorki" prowadzona była przez inną rękę. Wystarczy choćby taki passus: "Wiele wydarzyło się w ciągu półwiecza mojego życia z synem, wspólnie przeżyliśmy wojnę i zimę leningradzkiej blokady, ale żeby zaginać bez śladu w skłonecznej Italii, w cywilizowanym europejskim kraju, pod koniec XX wieku - czegoś podobnego radzieckiemu człowiekowi nie może się przysnąć nawet w koszmarnym śnie. Jestem emerytką, z wykształcenia prawnikiem. Życie zawodowe zaczęłam niegdyś od studiów nad prawem rzymskim, które legło u podstaw wszystkich europejskich systemów prawnych. Nie mogę sobie wyobrazić, iż dorosłego, wykształconego, świadomego człowieka można zgubić w Italii w biały dzień i nigdy nie odnaleźć.

Mam 78 lat. Jestem daleka od polityki. Mimo to regularnie czytam gazety. Z ich informacji wiem, że prawa człowieka to jeden z ulubionych tematów przywódców świata zachodniego. Czyż prawo do osobistego bezpieczeństwa i życia do tych praw nie należy?"

Proszę zwrócić uwagę, jak uczucia matki wykorzystuje się w celach propagandowych, jak nie interesująca się polityką osoba świetnie się na niej zna. Prasa radziecka zamieszcza setki "prywatnych" listów szeregowych obywateli protestujących przeciwko bezpieczeństwu imperialistów, a pisanych zawsze przez powołane do tego "organy". List taki zawsze zawiera jedno sakramentalne zdanie: "Jestem daleki/a/ od polityki, ale..."

Wróćmy na chwilę do cytowanego listu, szczególnie do jego stylu mimowolnie zdradzającego

mentalność jego autorów. Człowiek traktowany jest tu jak przedmiot, który może być "zgubiony" lub "odnaleziony". Zresztą nie ma się czemu dziwić. W kraju, gdzie obywatel znajduje się pod ścisłą kuratelą, rzeczywiście trudno go zgubić.

Sprawa zakończyła się szczęśliwie dla pani Bitow i jej syna, ale jednak niezbyt fortunnie dla autorów "jej" listu i redakcji. 24 października nadeszła z Londynu wiadomość, iż Oleg Bitow otrzymał tam azyl polityczny, o który prosił jeszcze przed miesiącem. Znak widocznie, że jednak prawo rzymskie w niedostatecznym stopniu legło u podstaw prawodawstwa radzieckiego i sam postanowił zdecydować o sobie nie czekając aż znajdą go ci, co go zgubili. Oświadczył, że pozostał na Zachodzie, by dać wyraz odrazie do represyjnego systemu sięgającego pod nowym kierownictwem po stare stalinowskie metody sprawowania władzy. Kropla, która przepełniła czarę, było dla niego bandyckie zniszczenie samolotu z 269 niewinnymi pasażerami: poczuł się współmordercą i postanowił zaprotestować.

Bitow ujawnił swe powiązania z KGB. Dodajmy, że na festiwal wenecki został posłany nie napisawszy uprzednio ani jednego zdania na temat filmu. Ucieczka jest jest drugą tak poważną wpadką rosyjskiego wywiadu po ubiegłorocznej ucieczce mjr Władimira Kuziczkina dorabiającego jako "dyplomata" w ambasadzie ZSRR w Teheranie. Okazuje się, iż można dorabiać również dobrze jako "krytyk filmowy".

Na tym jednak nie zakończyły się wszystkie nieszczęścia towarzyszy z "Lit. Gazety", bo oto numer z datą 26 października przynosi - jakby nigdy nic! - trzeci akt propagandowego serialu zainicjowanego wokół osoby zaginionego. a w tym momencie już odnalezionego

Bitowa. Znow ten cykl produkcyjny! Tym razem redakcja poszła już na całego. Zamieściła artykuł - znacznie, jak się później okazało, skrócony w stosunku do wersji oryginalnej - moskiewskiego korespondenta dziennika "Corriere della Sera", S. Scabelliego oraz napastliwe wypowiedzi dziennikarzy radzieckich: Apicenczenki, Prochorowa i Małyszewa. Znow to samo, tylko że jeszcze bardziej ostro: ironiczne uwagi na temat respektowania praw człowieka na Zachodzie, na temat "zabawy w demokrację", jaką się tam uprawia, sarkastyczne komentarze o "cywilizowanym kraju", w którym znika człowiek i to na 47 dni, w związku z czym redakcja gniewnie zauważa: "trzymać w pełnej nieświadomości jego matkę i rodzinę to rzecz nieludzka i antyhumanitarna".

Z tą ostatnią opinią możnaby jednak dyskutować, bowiem sformułowana jest w niedopuszczalnym abstrakcyjnym duchu i ciągnie od niej zapaszkien burżuazyjnego humanizmu. Komu jak komu, ale redakcji "Lit. Gazety" powinno być cnyba wiadome, że humanizm ma zawsze charakter klasowy i nie uciekniemy przed pryncypialnym pytaniem, które w każdej sytuacji winniśmy stawiać: komu i czemu on służy? Jeśli szerszej sprawie, to wtedy nie tylko pojedynczych ludzi, ale tysiące, miliony nawet można i trzeba przetrzymywać w tajemnicy przed najbliższymi i to nie na jakieś głupie 47 dni, ale lata całe i dziesięciolecia. Jest to jeden z trwałych dorobków realnego socjalizmu.

Czas na podsumowanie. Sprawa Bitowa została wykorzystana jako kolejny pretekst do kampanii antyzachodniej. Wykorzystana - jak widzimy - w sposób wyjątkowo bez-

myślny; wszystko zakończyło się blamażem towarzyszy z "Lit. Gaz.", blamażem o międzynarodowym rozgłosie, gdyż o rozgłos taki sami usilnie zabiegali. Jako żywo przywodzi to na myśl sukcesy rodzimej propagandy w dyskredytacji Lecha Wałęsy, uwieńczone szczęśliwie Noblem dla naszego przywódcy!

Czy można było taki finał przewidzieć? Oczywiście, ale już w pierwszym oświadczeniu redakcji "Lit. Gazety" wykluczono zdecydowanie możliwość ucieczki Bitowa, ponieważ cechował go - jak zapewniali towarzysze - "pryncypialny światopogląd marksistowski". Towarzysz Coppi już dwa lata strófuje Polaków za odstępstwa od marksizmu i socjalizmu, tymczasem nawet u najbardziej zaufanych współpracowników "Lit. Gazety" z tymi sprawami nie tego!

A co z czytelnikiem "Lit. Gazety", którego przez trzy numery karmiono listami, oświadczeniami, komentarzami eskalując nastrój antyzachodniej hysterii? Przecież czytelnik ten mógł na serio przejąć się losem swego rodaka, a tymczasem "Lit. Gazeta" nagle urywa sprawę, ani słóweczka więcej na temat człowieka, który jej przez trzy numery był tak nieskończenie drogi i bliiski. Cóż, czytelnika zaagitowano w ten sposób, by stał się słuchaczem rozgłosni zachodnich. To wręcz klasyczny przykład autokompromitacji oficjalnej propagandy i tworzenia bodźców do szukania informacji poza nią w innych źródłach.

J. B.

Fakt będzie zawsze nagi,

choćby był ubrany według

ostatniej mody.

(St. Lec)

NIE ŻYĆ W KŁAMSTWIE

Ludzką rzeczą jest zdziwienie. Zdziwienie może być miarą humanistycznej wrażliwości. Zobojętnienie wobec zła jest zasiewem pod społeczeństwo, które - jak u Orwella - uwierzy, że "wojna jest pokojem".

Zdziwienie, choć ludzkie, nie może jednak być dzisiaj naiwne. Zdziwienie naiwne to preludium do zgody na zło.

Jedną z podstawowych, totalitarnych postaci zła jest kłamstwo. Na kłamstwie, fikcji, iluzji opiera się strategia zdobywania władzy absolutnej nad człowiekiem. W rozmiarach dotąd niespotykanych ideologię kłamstwa usiłował wcielić faszyzm, ale i on mógłby terminować u komunistycznych magów fałszywych słów.

Jednym z najpopularniejszych hasł ekresu "Solidarności" było zawołanie: "TV Kłamie!". Dzisiaj, oglądając serial o głupim i nieuczciwym Wałęsie nie wierzymy już bezkrytycznie w propagandową farsę, ale ciągle popadamy w zdziwienie: jak to możliwe!? No tak, oczywiście, to kłamstwo, ale żeby aż tak?! Zdziwienie szczerze, ale w tym przypadku również naiwne i bezproduktywne. Dziwić się, że reżim komunistyczny posługuje się kłamstwem, to tak jak dziwić się, że Rosjanin mówi po rosyjsku. Zdziwienie takie osłabia samodzielność myślenia i podkopuje wszelką pewność. Kłamstwo jest aktywne: drąży umysły powoli. Dlatego system totalitarny nie szczędzi środków na rozwój wytwórczości kłamstwa. Im większa przepaść między realną rzeczywistością a ideologią, tym więcej potrzeba kłamstwa i fikcji dla jej zamaskowania.

Tyle teorii, która jednak nie

zawsze wystarcza w zderzeniu z konkretem. Można orientować się w teorii kłamstwa totalnego i nadal ulegać naiwnemu zdziwieniu przed bluzgającym kłamstwem ekranem telewizora. Zbyt mało mówi się i pisze o konkretach procesu wytwórczego kłamstwa, o technologii produkcji seriali propagandowych. Często dajemy się wciągnąć w grę narzuconą przez reżim tylko dlatego, że trudno nam uwierzyć, by te oto, odtwarzane w radiu czy TV wypowiedzi Wałęsy mogły być całkowitą fikcją. Słyszemy przecież znajomy głos, słowa, dialogii... Wszystko jest w miarę spójne i prawdopodobne... Wypowiedź odbieramy w jej całościowości, dialog w jego dramaturgii i do głowy nam nie przychodzi, że tekst dzieli się przecież na zdania, słowa, sylaby... Nie zdajemy sobie często sprawy, że stosunkowo oryginalny, niepowtarzalny treściowo, kompozycyjnie i emocjonalnie tekst składa się z ograniczonej liczby słów, połączonych wzajemnie za pomocą niewielkiej liczby reguł gramatycznych. Językoznawcy twierdzą nawet, że liczba zdań możliwych do sformułowania w danym języku jest nieskończona. Jednocześnie nie zawsze uświadamiamy sobie, jak ubogi i stereotypowy jest nasz język codzienny.

Wałęsa mówi dużo i spontanicznie, mniej lub bardziej poprawnie, stylem potocznym, odznaczającym się co prawda pewnymi osobliwościami, równocześnie jednak podlegającym normom potoczności. Jego głos, głos sławnego człowieka "prywatnego" rejestrowany jest przy każdej okazji. Oficjalnie - gdy przemawia publicznie, udziela wywiadów czy uczestniczy w konferencjach prasowych. Nieoficjalnie - w kulu-

arach, poprzez podsłuchy, w trakcie przesłuchań w prokuraturze. Większość tych nagrań trafia do Centrali zajmującej się wewnętrzną dywersją ideologiczną. Tutaj zapewniają się powoli półki sejfów i zapewne trudno byłoby uwierzyć przeciętnemu człowiekowi, że te kilometry taśmy zawierają co najwyżej parę tysięcy słów. Słów powtarzanych w rozmaitych kontekstach, różnie odmienianych i akcentowanych. Takie wyrazy jak: "związek", "walka", "władza", "pieniądze", "dialog" powtarzają się setki razy we wszystkich możliwych formach gramatycznych. Powtarzają się też całe zdania, zwroty, kalki myślowe... Wszystkie te nagrania, dokonane często w fatalnych warunkach akustycznych /np. podsłuchy/ mogą stać się przedmiotem obróbki dźwiękowej. Jeśli np. Centralę zainteresuje zdanie wypowiedziane przez Wałęsę na ulicy, na tle wielkomiejskiego ggiełku, nic prostszego niż wyeliminowanie zbędnego tła za pomocą tzw. dyskryminatora mowy. Skomplikujmy jednak sprawę bardziej jeszcze: do fikcyjnej mozaiki potrzebne jest jedno słowo, zbędny zaś jego prawdziwy kontekst. Otóż każde nagranie poddawane obróbce dźwiękowej przegrywane jest na tzw. szybkość radiową. Oznacza to, że 1 sekundę rozmowy nagrywa się na 33 cm taśmy magnetofonowej. Ale to nie wszystko! Możliwe jest podwojenie tej szybkości. Tak więc 1 sek. zawierająca 2-2,5 słowa może być "rozciągnięta" na 75 cm taśmy! Daje to możliwość wydzielenia z dowolnego tekstu mówionego nie tylko pojedynczych wyrazów, ale także sylab i fonemów! Precyzja taka nie jest zresztą konieczna - Centrala posiada zbyt rozległy materiał nagrany, by zabawić się w słowotwórstwo.

Wyrwane z macierzystego kon-

tekstu słowa i zdania są następnie montowane w nowe, fikcyjne struktury składniowo-treściowe. Wyobraźnię funkcjonariusza SB męczącego się przy tej misternej robocie z nożyczkami i klejem już dawno przeszło do lamusa. Dzisiaj montaż dokonuje... komputer. Odpowiednio zaprogramowany, dysponujący precyzyjną pamięcią, zdolną pomieścić nie tylko wszystkie wypowiedzi Wałęsy, ale i brednie Rakowskiego i Urbana pospołu; synchronizuje elektronicznie wyrazy i zdania z dokładnością setnych sekund. Nowy, fikcyjny tekst można uatrakcyjnić dowolnym tłem dźwiękowym, stwarzając w ten sposób złudzenie jedności czasu, miejsca i akcji lub też uniemożliwiając dokładną słyszalność tekstu /jak to miało miejsce w programie "Wałęsa - milioner"/. Arsenal możliwości manipulacji samym głosem jest równie bogaty. Stosunkowo amatorskim zabiegiem jest uzyskiwanie potrzebnych modulacji intonacyjnych poprzez niezauważalne zwalnianie lub przyspieszanie przebiegu taśmy. Cały system korekcji umożliwia manipulowanie barwą głosu, a więc i jego podrabianie. Wszystko to jednak zaledwie propedeutyka, znana każdemu, kto choć trochę zajmuje się nagrywaniem piosenek...

Na koniec maleńka zabawa. Oto znany chyba wszystkim fragment wypowiedzi Lecha Wałęsy z 30 sierpnia 1980 roku. Wybrany całkowicie przypadkowo:

/.../ "Tu musimy się naprawdę po męsku dogadać czy wolne czy stare z poprawkami, z naprawieniem. /.../ Prosiłem, żeby ktoś wpłynął, żeby zaprzestać aresztowań, przede wszystkim w Warszawie jest masę aresztowań ludzi - mówmy prosto - z KOR-u, ale ci ludzie nie są winni, oni nam pomagali, ale nie byli z nami, nie robili. Jak będą źle robić, to my będziemy sami za tym, żeby ewentualnie jakieś sprawy wynikły, ale narazie nie robią nic złego. Propo-

nuje i proszę o wypuszczenie ich. /.../ Panie Premierze, nie zdążą ... ale te osiem godzin nie uratuje sprawy. /.../ Mamy wreszcie niezależne, samorządne związki zawodowe! Mamy prawo do strajku! A następne prawa ustanowimy już nie- długo! Pierwszy etap wygrany, ale drugi - dużo cięższy, o ciężki, ja się aż bardzo go boję. Na pewno będą potknięcia, na pewno będzie chociaż nas ktoś trochę wyprowadzić w manowce, taka jest prawda. Ale my się nie damy, bo wszyscy bierzemy odpowiedzialność. Nie ja sam, ale wszyscy razem, to jest siła, to jest moc - i my to zrobimy".

A teraz nowy, fikcyjny tekst, złożony z cząstek wypowiedzi autentycznej:

"Musimy ich wyprowadzić w manowce, zrobimy masę aresztowań, nie

zdążą się dogadać, nie ich nie uratuje! Siła - to jest pierwszy etap wygrany, drugi - z KOR-u proponuję zrobimy związki zawodowe. Mówmy prosto - zrobimy to po męsku i będzie po premierze! W osiem godzin będziemy w Warszawie!"

Gustaw Herling-Grudziński pisze w swoim "Dzienniku": "Dewiza 'Tygodnika Powszechnego' - nie kłamać - jak i hasło Sołżenicyna 'nie żyć w kłamstwie', jest jedyną postacią jawnego oporu w ustroju totalitarnym. Niczego innego się tu nie wymyśli, bo niczego innego, poza kłamstwem i jego pochodnymi nie wymyślił totalitaryzm".

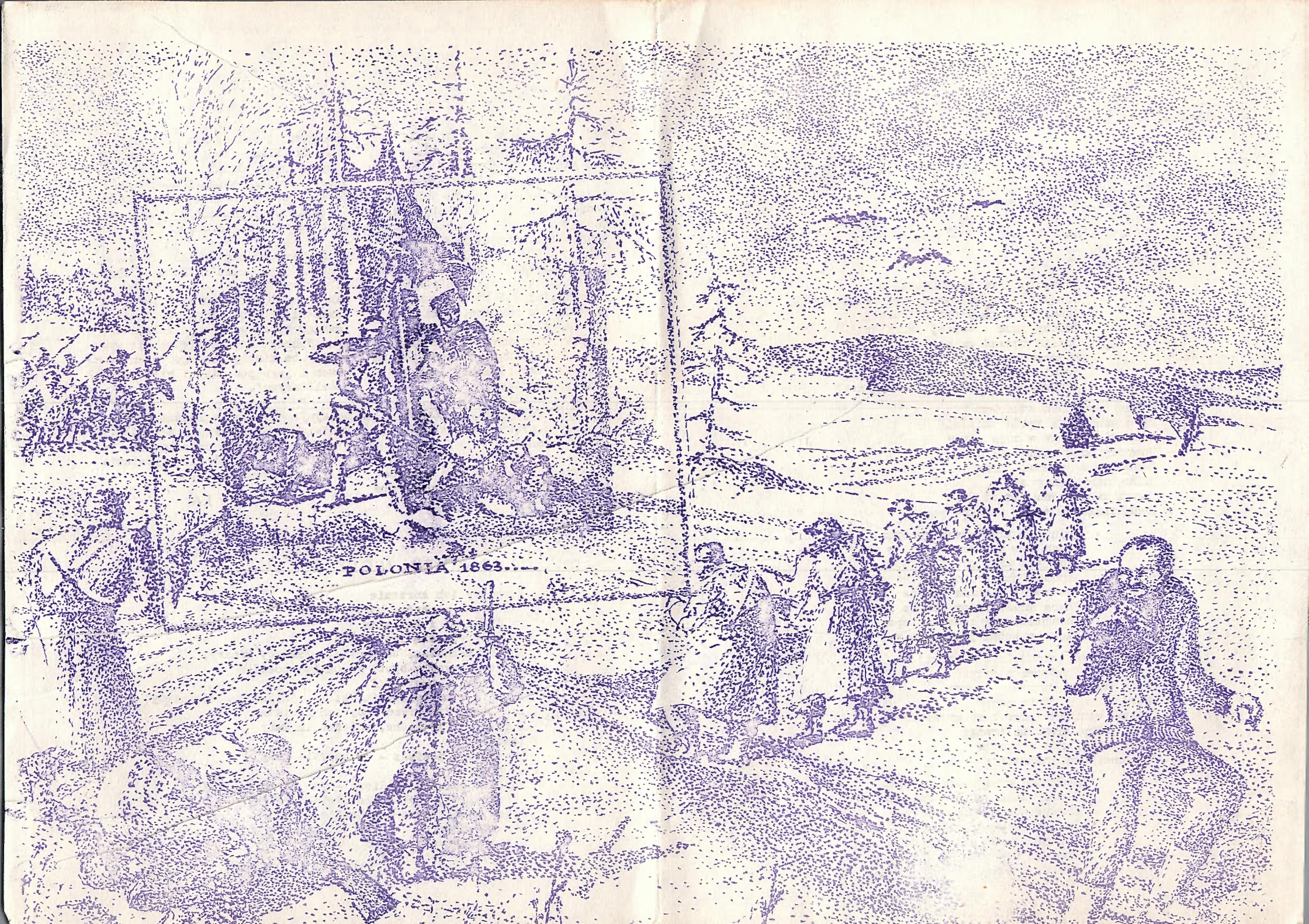
Dodajmy: "Nie żyć w kłamstwie" to także zastępować naiwne zdziwienie w obliczu kłamstwa świadomością jego natury i technologii w systemie na kłamstwie zbudowanym.

J.A.

BY LOS POKOLEŃ NIGDY SIĘ JUŻ...

Wyrwijmy ich korzenie
Jak w noc wicherów, burzy,
By liśćmi i kwieciami
Nie pokryły się już więcej
Zrad, kłamstwa, bezprawia, przemocy konary,
By bezsilnych w błoto rzuczanych pokoleń
Los się nie powtórzył,
A jeśli w miłosierdziu, którym jesteś przesiąknięty
Nie potrafiś przed sądy ich zawieść
I nałożyć zasłużone, należne im kary
Przemysł!
Przemysł i powiedz - co uczynić mamy
By nigdy
Naród - niewinne miliony - już nie cierpiały
By wirujące - ich jakiegokolwiek drobiny
Jadem nasączone cząsteczki - macki
Nie potężniały,
Nie wyczekiwały nowych chwil
W strugach mętnych.

Kraków, 09.07.1982 r.



POLONIA 1863...

BUDUJCIE ARKĘ PRZED POTOPEM

W pełnym słońcu w środku lata
Wśród zagodnych fal zieleni
Wre zapamiętała praca
Stawiam kłódź na suchej ziemi
Owad w pąku drży kwitnącym
Chłop po barki brodzi w życie
Ja pracując w dzień i w nocy
Mam już burty i poszycie

Jacek Kaczmarski

Budujcie arkę przed potopem
Dobądźcie na to swych wszystkich sił
Budujcie arkę przed potopem
Choćby tłum z waszej pracy kpił
Ocalić trzeba co najdroższe
A przecież tyle już tego jest
Budujcie arkę przed potopem
Odrzućcie dziś każdy zbędny gest

Muszę taką kłódź zbudować
By w niej całe życie zmieścić
Nikt nie wierzy w moje słowa
Wszyscy mają ważne wieści
Ktoś się o majątek kłóci!
Albo łatwy weszły żer
Zanim się ze snu obudzi
Będę miał już maszt i ster

Budujcie arkę przed potopem
Niech was nie mami głupców chór
Budujcie arkę przed potopem
Słychać już grzmot burzowych chmur
Zostawcie kłótnie swe na potem
Wiarę przeczuciom dajcie raz
Budujcie arkę przed potopem
Zanim w końcu pochłonie was

Każdy z was jest kłodzią w której
Może się z potopem mierzyć
Cało wyjść z burzowej chmury
Musi tylko w to uwierzyć
Deszcz w ulewie grzmot za grzmotem
I za późno krzyk na trwogę
I za późno usta z błotem
Wypluwają mą przestrogę

Budujcie arkę przed potopem
Słyszę sterując w serce fal
Budujcie arkę przed potopem
Krzyczy ten, co się przedtem śmiał
Budujcie arkę przed potopem
Naszych nad własnym losem łez
Budujcie arkę przed potopem
Na pierwszy i na ostatni chrzest.

PRAWORZĄDNOŚĆ

IV

PRAWORZĄDNOŚĆ A NOMENKLATURA

Nomenklatura - to wykaz ważniejszych stanowisk w państwie, na obsadę których partia, tzn. odpowiednie ogniwa jej aparatu mają wpływ decydujący, a w praktyce jedyny. Terminem tym określa się również samą prowadzoną przez partię politykę kadrową w odniesieniu do stanowisk objętych nomenklaturą.

Nomenklatura jest, jak dotychczas, zjawiskiem występującym we wszystkich krajach demokracji ludowej, można ją zatem uznać za powszechny atrybut ustroju. Jest ona wszakże czymś więcej niż tylko polityką kadrową. Jest to pewna filozofia sprawowania władzy. Jest to system zapewniający czynnikiem politycznym bezpośredni wpływ na funkcjonowanie wszystkich struktur w aparacie władzy, administracji i gospodarki. Partia, jako jedyny dawca stanowisk, jedyne źródło związanego ze stanowiskiem prestiżu, pozycji społecznej, korzyści materialnych, jako wyłączna przyczyna sprawcza kariery kadry kierowniczej, stwarza przez to niezwykle silne więzy zależności, lojalności, a w szczególności - bezwzględnego posłuszeństwa po stronie ludzi, którym stanowiska powierza.

Owa szczególna lojalność, określana niekiedy mianem "dyspozycyjności", staje się założoną, wkalkulowaną konsekwencją nie tylko przynależności organizacyjnej, a więc identyfikacji z celami politycznymi i metodami działania partii, ale także wynikiem uzależnienia sytuacji osobistej, życiowej każdego konkretnego człowieka z "nomenklatury" od decyzji aparatu politycznego. W praktyce zrozumienie i zaakceptowanie tej zależności powoduje niezwykle zaabsorbowanie zabezpieczeniem odpowiednich "układów", "wejść", spychających dość często na drugi plan samą merytoryczną działalność związaną, względnie wynikającą z danego stanowiska. Z drugiej strony lojalność kadry kierowniczej oparta jest na wzajemności.

Skoro dyspozycyjność, wierność polityczna jest w nomenklaturze najważniejsza, przeto błędy merytoryczne w wykonywaniu sprawowanej funkcji nie pociągają za sobą szczególnie surowych konsekwencji. Stąd znane powszechnie zjawisko "karuzeli stanowisk". Na odpowiednio wysokim szczeblu karą najsurowszą jest zasłużona emerytura - typowym zaś wyrazem dezaprobaty - przesunięcie na inne stanowisko, także z "nomenklatury", z reguły również wysokie, chociaż bywa, że mniej ważne, albo też - jako przejaw niełaski - "zesłanie" na placówkę dyplomatyczną lub konsularną. W drastycznych sytuacjach następuje usunięcie z partii. Jest samo przez się zrozumiałym, że dla bezpartyjnych obsadzenie "nomenklaturowego" stanowiska poprzedzone jest wpisem - oczywiście dobrowolnym - do partii.

Przynależność do nomenklatury jest także kartą wstępu do grupy rządzącej, swoistą nobilitacją wyróżniającą ze znacznie przecięż

szerszego grona współtowarzyszy. Stwarza to poczucie wewnętrznej solidarności grupowej i narastające wyobcowanie, nie tylko wobec szerokich rzesz społeczeństwa, ale także w stosunku do szeregowych "dołów partyjnych". Zjawisko to towarzyszy nam, ze zmiennym nasileniem, przez cały okres powojenny. W ostatnich latach system ten doprowadził do wynaturzeń niemożliwych do tolerowania.

Dla nas, prawników, zastanawiającą cechą nomenklatury był i jest jej charakter pozaprawny, tzn. nie znajdujący oparcia w żadnych właściwie przepisach prawnych. Konstytucyjna norma o przewodniej roli partii, a ściślej mówiąc norma przyznająca partii prymat przewodniej siły politycznej społeczeństwa, została wprowadzona do naszego systemu prawnego w 1976 roku, a przecież system nomenklatury funkcjonował bez przerwy już kilkadziesiąt lat wcześniej. Co więcej, zgodnie z teorią prawa konstytucyjnego norma art. 3 ust. 1 Konstytucji PRL nie może stanowić źródła jakiegokolwiek samoistnych uprawnień, wymaga bowiem konkretyzacji w przepisach niższego rzędu. Teoretycznie więc uzupełnienie Konstytucji z 1976 roku niewiele w tej materii zmieniło. Pozaprawny, ale równocześnie powszechnie panujący system budzi już z tej tylko, czysto jurydycznej przyczyny, zasadnicze wątpliwości.

System nomenklatury traktowany jest przez partię jako jeden z najważniejszych, jeśli nie najważniejszy, instrument realizacji jej kierowniczej roli. Trudno zatem nie zgłaszać zastrzeżeń wobec faktu, iż ta właśnie dźwignia władzy pozbawiona jest prawnego uregulowania. Nie znaczy to, by taka sytuacja budziła szczególne zdziwienie. Norma prawna ujawniłaby tajemnicę partyjną, aczkolwiek powszechnie znaną, że w "nomenklaturze" mieszczą się oprócz politycznych "prominentów" również niezliczone tysiące dyrektorów, prezesów, naczelników, redaktorów itp., których wola partii przeniesie może z każdego na każde stanowisko. Prawne uregulowanie systemu nomenklatury oznaczałoby, iż stanowiska dostępne, publikowane akty prawne określałyby jakie stanowiska winny pozostawać do swobodnej lub podejmowanej wspólnie z innymi czynnikami decyzji partii. Uregulowanie takie musiałoby precyzować kryteria doboru ludzi na poszczególne stanowiska, a wreszcie określać ich odpowiedzialność za działalność, ocenianą nie tylko lub nade wszystko na podstawie kryteriów politycznych, ale także za merytoryczną nieudolność. Jawność kryteriów i odpowiedzialność podważałaby jednak istotne elementy systemu, a przede wszystkim dyspozycyjność zmierającą ku zadowoleniu aktualnych decydentów, narażałaby na szwank solidarność grupową.

Przeciwko temu, co nie jest prawnie unormowane, co jest zjawiskiem pozaprawnym, bardzo trudno występować posługując się środkami prawnymi. Stąd też sprzeciw wobec wielu decyzji kadrowych musiał przypominać swoistą walkę z cieniem. Postulaty, protesty, wyrazy dezaprobaty kierwane były z konieczności do instytucji lub organów, które wprawdzie, zgodnie z istniejącym porządkiem prawnym, decyzję formalnie podejmowały, ale protestujący doskonale wiedzieli, iż ich działanie ma charakter porozowany, gdyż adresatem owych dezyderatów powinno być inne gremium.

Funkcjonowanie "nomenklatury" budzi szczególny opór, w swych

praktycznych konsekwencjach wydaje najgorsze, wręcz katastrofalne owoce, w gospodarce narodowej. 40 prawie lat prowadzenia polityki w gospodarce, zamiast zwykłego gospodarowania, doprowadziło tę gospodarkę do dzisiejszego stanu.

Nomenklatura nie da się pogodzić z konstytucyjną zasadą równości wobec prawa. Trudno uznać ją za zgodną z przepisami kodeksu pracy i pragmatyk służbowych, opierających się na zasadzie równych szans i statuujących podstawy kariery zawodowej na równie fundamentalnej zasadzie "każdemu według jego pracy".

Istniejący system zamyka drogę do stanowisk kierowniczych tym, którzy wiedzą fachową i właściwościami charakteru górują nad innymi, ale którym światopogląd, poglądy polityczne, wreszcie - co chyba również ważne - siła charakteru, uniemożliwiają wejście do kręgu nomenklatury.

Każde państwo wymaga lojalności od ludzi, którym powierza kierownicze stanowiska. Praktyka nomenklatury nie zadowala się jednak normalną lojalnością obywatelską, wobec państwa, wobec Narodu, wobec konstytucyjnego systemu władzy. Wymaga lojalności kwalifikowanej, a mianowicie oprócz zrozumiałej lojalności obywatelskiej także, a nawet przede wszystkim wierności i posłuszeństwa w stosunku do aktualnej grupy rządzącej, jej bieżących decyzji i to niezależnie od osobistego poglądu na trafność aktualnej linii.

O ile obowiązek lojalności obywatelskiej jest prawnie uzasadnioną przesłanką objęcia kierowniczego stanowiska i pozostawania na nim, to uzależnienie sprawowania funkcji kierowniczej od wspomnianej wyżej lojalności kwalifikowanej nie znajduje prawnego uzasadnienia, pomijając już nawet wszelkie szkodliwe następstwa w sferze gospodarczej, społecznej, moralno-etycznej.

Z drugiej strony realizm niezbędny także i nam, prawnikom, a może nawet "racja stanu" dyktują rozwiązania polityczne i prawnie możliwe do przyjęcia. Istnieją w strukturze państwa stanowiska szczególnie ważne, na których podejmowane są decyzje motywowane w istotnym stopniu przesłankami politycznymi. Takie stanowiska obsadzone są przez partię rządzącą, jest to bowiem najważniejszy przejaw sprawowania rządów w państwie. Tak dzieje się np. w St. Zjednoczonych, Anglii czy Holandii - prawda - przy wielopartyjnym systemie. Takich stanowisk nie jest jednak nigdzie tyle, by wymagały wielotysięcznej armii biurokratycznej. W szczególności - jeżeli chodzi o Polskę - nie można się zgodzić z tym, by stanowiska kierownicze w przedsiębiorstwach, jednostkach naukowych, kulturalnych, w spółdzielczości itd., a więc wszędzie tam, gdzie najważniejsza jest fachowość, talent, uczciwość, raczej odwaga cywilna niż dyspocyjność, obsadzone były ludźmi dobieieranymi pod kątem widzenia ich kwalifikacji politycznych.

Dobór kadry kierowniczej dokonywany tylko przez partię i od niej tylko zależny, czyni ją też "ubezwłasnowolnioną" wobec żądań aparatu, uniemożliwia korektę błędów popełnianych gdzieś na centralnym szczeblu kierownictwa politycznego i powielanych, a z reguły zwielokrotnianych przez aparat terenowy zgodnie z zasadami centralizmu demokratycznego.

Zachowanie decydującego wpływu partii na obsadę stanowisk o p o l i t y c z n y m znaczeniu, powinno być prawnie uregulowane. Jakże stanowiska obsadzone będą przy decydującym wpływie partii winno wynikać z przepisów prawnych. Muszą one możliwie precyzyjnie określać kwalifikacje konieczne dla danego stanowiska oraz instrumenty społecznej, a nie tylko partyjnej kontroli nad wybranymi przez partię ludźmi. Jest to rozwiązanie, które - poza zupełnym zniesieniem nomenklatury - nie ma alternatywy, a które powinno być wprowadzone właściwie od wczoraj. Bez polityki kadrowej, przewyższającej oczywiście władzę nomenklatury, trudno liczyć nie tylko na szybko, ale w ogóle jakąkolwiek przebudowę naszego systemu gospodarczego i społecznego.

Jan Nowicki, Jan Nowacki

UCIECZKA Z RAJU

Niedawna ucieczka na Zachód Olega Bitowa, współpracownika tygodnika "Literaturnaja Gazeta" /częstego gościa naszych kramów - MN/ znów uaktualniła problem, którym zresztą stale żyją środki przekazu w krajach zachodnich. Rzecz wymaga jednak poważniejszego zglębienia, bo gdy się nad nią ódrze zastanowić to widać, że jest się nad czym zastanawiać.

A więc po kolei. Z jednej strony mamy kraj zwycięskiego socjalizmu, gdzie przed każdym obywatelem ogrom możliwości, a konstytucja /w takiej Anglii konstytucji w ogóle nie ma! / gwarantuje wszelkie możliwe prawa, przywileje i wolności. Z drugiej - kraje rządzone wilczymi prawami rynku, okropny wyzysk prostego człowieka, bezrobocie, inflacja, drożyzna, konflikty klasowe, do tego jeszcze rekiny biznesu podkręcają spiralę zbrojeń. Czerni obrazu dopeźnia pesymizm, bezna dziejność, narkomania, samobójstwa, w najlepszym przypadku - wybujały erotyzm.

Tak radzieckie mass media

przedstawiają codzienność swego kraju i krajów zachodnich. Wspomniana "Literaturnaja Gazeta" w w serwisie fotograficznym stale pokazuje demonstracje pokojowe przeciwko amerykańskim zbrojeniom, na tantym zdjęciu zmasakrowana twarz wleczonego przez policję młodego człowieka, tu znów - bezrobotny z wypisaną na piersi błagalną prośbą o jakieś zatrudnienie i środki do życia. Takie obrazy są wpajane obywatelowi od niemowlęctwa. Od przedszkola poprzez szkołę podstawową, średnią i wyższą przedmioty ideologiczne są na pierwszym miejscu. Gdy człowiek dorośnie, też nie da- dą mu zapomnieć o rozkoszach socjalizmu i okropnościach kapitalizmu w niezliczonych prelekcjach, praso- sówkach, zebraniach i mityngach. Idzie ulicą, jedzie tramwajem lub pociągiem - wszędzie setki, tysiące hasel wielbiących partię, jej pokojową politykę i troskę o czło- wieka. Wszędzie jest atakowany, nigdzie nie ma spokoju, stale mu- si być czujny i ideologicznie do- zbrojony.

I co? Właściwie nie, bo całe to propagandowe szaleństwo, nie

mające żadnych precedensów w historii, bierze w zęb, gdy człowiek radziecki znajdzie się na Zachodzie. Naocznie i namacalnie, jeśli w ogóle zachował zdolność kojarzenia faktów, przekonuje się, iż go ordynarnie okłamano. Stąd tak niesłychany paradoks: mieszkańcy kraju tak często dobrowolnie wybierają życie w piekle i ani jednego odwrotnego przykładu!

Trudno o choćby pobieżną analizę tego zjawiska, które ma wymiar psychologiczny, socjologiczny, narodowy, zawodowy, ale przede wszystkim oczywiście polityczny. Uciekają właściwie wszyscy - artyści i marynarze, dziennikarze i uczeni, dyplomaci i sportowcy, Rosjanie i Gruzini. Nie uciekają właściwie tylko Żydzi, bo i tak prawie wszyscy chcą wyjechać i dlatego nikt z nich nie dostanie paszportu jako obywatel ZSRR. Ochotę na zmianę kraju zamieszkania mają nawet dzieci przedstawicieli partynopaństwową elity. W Anglii pozostał podobno przed paru laty syn członka politbiura A. Kirilerki. Znamy to zresztą z własnego podwórka, bo chyba Artur Rakowski najlepiej wie, ile warta jest ideałowość jego taty.

Te fakty wskazują dowodnie, jaki jest prawdziwy charakter systemu. Ucieka się przecież tylko z więzienia, z obozu, ze strefy zagrożenia. Nikt przy zdrowych zmysłach Amerykanina rezygnującego z obywatelstwa swego kraju i przyjmującego obywatelstwo Szwajcarii bądź Anglii nie nazwie uciekinierem lub zdrajcą, bo prawo wyboru kraju i miejsca zamieszkania jest niezbywalnym świętym prawem każdego człowieka.

Ale człowiek radziecki nie jest "każdym człowiekiem", jego państwo też. Nierespektowanie podstawowych praw jest w nim również prawem wynikającym z poczu-

cia realizmu. Musimy sobie uświadomić podstawowy truizm, iż egzekwowanie od socjalistycznego państwa zgodności z obowiązującym w nim /formalnie/ prawem jest obiektywnie zagrożeniem nie tylko ustroju ale i egzystencji samego państwa. Wyobraźmy sobie na chwilę, co by się stało z Kubą, Wietnamem, Koreą Północną czy samym ZSRR, gdyby można je było swobodnie opuścić. Pouczającym precedensem i ostrzeżeniem była NRD do zbudowania muru berlińskiego. Tysiące Niemców, szczególnie młodych, przenosiło się ze strefy wschodniej do zachodniej. Demografowie obliczyli nawet, iż jeśli proces ten nie ustanie, gdzieś około roku dwutysięcznego w NRD zostanie tylko Komitet Centralny SED. Więc jak można było do czegoś takiego dopuścić!

Ten mur jest pojęciem w pewnym sensie symbolicznym, wszystkie kraje socjalistyczne są nim otoczone. I nieprzypadkowo nazywają się "obozem". Od wieków mury wznoszono w celach obronnych, miały bronić tych co byli wewnątrz przed tymi, co na zewnątrz. W tej tradycji socjalizm również dokonał przełomu: mur chroni przed tymi, co są wewnątrz. Żeby nie uciekli...

Ucieczki obywateli radzieckich stały się szczególnie częste w środowisku artystycznym. Pociągnęło to nawet jednostronne zawieszenie przez ZSRR wymiany kulturalnej z kapitalistyczną zagranicą, co stało się jeszcze - warto o tym pamiętać - przed Afganistanem, który ogólnie pogorszył stosunki Wschód-Zachód. Kreml został zaalarmowany topnieniem baletowych, teatralnych i muzycznych zespołów wysyłanych na Zachód. Moskiewska ulica zareagowała na to serią kawałów. Oto dwa dialogi:

- Co to jest Teatr Mały?

- To Teatr Wielki po występach w USA.

Albo:

- Co to jest kwartet?
- Wielka Orkiestra Symfoniczna Moskiewskiego Radia i Telewizji po występach w RFN.
- A duet?
- To ten sam kwartet tylko po wizycie w KGB.

Sensacją 1976 roku była ucieczka do Japonii pilota Wiktora Bielenki na supernowoczesnym MIG-25. Już rankiem na drugi dzień pojawiła się propozycja nowej reklamy Aeroflotu: Jeden mig i jesteś w Japonii!

Każdy podobny wypadek jest dla władz czymś niezwykle embarrassingim, stawia pod znakiem zapytania efektywność jej poczyną ogólnowychowawczych, jak i system kwalifikacji na wyjazdy zagraniczne. Można sobie wyobrazić zafrasowane miny towarzyszy po wpadce z Olegiem Bitowem. Uciekł, zdradził, ośmieszył nas, a przecież zrobiliśmy wszystko, co można: i komitet partyjny zatwierdził jego charakterystykę, krewnych za granicą - nikogusienko, brak udział w wszystkich subotnikach, sprawdzaliśmy listę obecności na spontanicznych demonstracjach mieszkańców Moskwy przed ambasadą amerykańską - był, we wszystkich przed wyjazdowych szkoleniach ideologicznych, specjalnych odprawach i instruktażach uczestniczył, mamy jego pisemne oświadczenie, że jego światopogląd marksistowski jest krystalicznie czysty, również oświadczenia naszych poufnych informatorów były pozytywne. I masz - zwiąż, kanalia, a przecież z papierów wynika, że nie miał prawa!

Rozmyślań takich wiele, choć zjawisko mimo wszystko tak masowym, jak być powinno, nie jest. Już sam system kwalifikacji na wyjazdy jest bardzo surowy, sito przepuszcza tylko "najlepszych z najlepszych", tzn. najbardziej

sprawdzonych. Mowy nie ma, by paszport dostał ktoś, kto nie tylko słowem, nawet gestem, miną zdradził się ze swą nieprawomyslnością. Ważne jest również kryterium narodowe. Rzadko, niezwykle rzadko dostaje paszport kawaler. Tu dochodzimy do bardzo istotnego kryterium: wyjeżdżający zawsze pozostawia w kraju, w charakterze zakładników, najbliższą rodzinę. Na wypadek jego dezercji nie grozi jej wprowadzenie, jak dawniej, więzienie, ale zagnanie kariery, awanse, wyróżnienia. Współmałżonek, rodzice i dzieci nie unikną również poniżających publicznych potępień swego wyrodnego członka rodziny z sakramentalnymi wyznaczeniami, że niby my tu mamy wszystko, partia troskliwie opiekuje się nami, a mimo to jakież to bolesne i oburzające - znajdują się zwyrodnialcy, którzy... itd. Dlatego każdy, kto podejmuje decyzję niewracania do kraju, wie dobrze, na co naraza najbliższych. Pamięta choćby szlochającą przed kamerami telewizyjną żonę pilota Bielenki.

Kim są uciekinierzy? "Uciekinierzy" to niedokładne słowo, wybór takiego losu trudno nazwać dezercją lub tchórzostwem, wymaga to nie lada odwagi a nawet bohaterstwa. Jest tu również coś z przymusu, gdy człowiek nie jest już więcej w stanie kłamać, pozwalać się okłamywać i znosić poniżenia. Mówi wreszcie: dość!

Bałamutne jest nazywanie uciekinierami pisarzy. Sołżenicyn został po prostu wydalony. Wielu jego kolegów, objętym ścisłym zakazem druku, pozbawionym środków do życia i nękanym przez organa bezpieczeństwa proponuje się emigrację. Po wyjeździe ktoś taki jest automatycznie pozbawiany obywatelstwa. Tak znaleźli się na Zachodzie wybitni a znani przecież i u nas pisarze: W. Niekrasow, W. Maksimow, W. Aksionow, W. Wojnowicz, ostatnio - G. Władimow.

To tylko parę nazwisk, listę można mnożyć bez końca.

Równie imponująca jest lista artystów - byłych obywateli ZSRR sławnych teraz z występów na estradach całego świata i płytowych nagrań. Dla wielu z nich dopiero wyjazd umożliwił normalny rozwój artystyczny. Pionierem był tu wielki tancerz Rudolf Nurijew, który w 1961 r. odmówił powrotu do kraju. Później dołączyli tacy artyści baletu i opery, jak Barysznikow czy Godunow. Wśród muzyków mamy Gwidona Kremiera - największy talent spośród młodszej generacji skrzypków, Bellę Dawidowicz - laureatkę konkursu chopinowskiego z 1949 r., syna i wnuka "samego" Dymitra Szostakowicza: Maksyma /dyrygenta/ i Dymitra /pianistę/, sławnego wiolonczelistę Rostropowicza i jego żonę śpiewaczkę Wiszniewską oraz wielu takich, których nazwiska są ozdobą programów koncertowych w Europie, Ameryce i Japonii.

Nie zapominajmy o sztuce filmowej, szczególnie o dwóch - jak ich określiła zachodnia prasa - największych "poetach współczesnego kina": Andrzeju Tarkowskim i Sergiuszu Paradżanowie. Pierwszy jest na statusie półemigranta pracując aktualnie we Włoszech /jego "Nostalgia" była pokazana w Cannes/, wyjechał, bo jego dzieła w ojczyźnie nie miały szans przebicia się przez rogatki cenzury. Gruzin Paradżanow nadal jest w kraju. W 1974 r. za nieprawomyślność dostał pięć lat kastru, dzięki protestom zagranicy odsiedział tylko cztery, ale prawa do wyjazdu nie otrzymał, pracować też mu nie wolno. W październiku 83 roku pokazano w Londynie dwa filmy, które Paradżanow zdażył dotychczas zrobić: "Barwę granatu" i "Cienie zapomnianych przodków". Zachwył kryty-

ki i widzów, słowc "arcydzieło" padało bardzo często.

Nie zapomnijmy o trzech innych wielkościach: największym rosyjskim rzeźbiarzu Ernście Nieizwiestnym od kilkunastu lat na Zachodzie, od paru miesięcy zdaje się dołączyć do niego najwybitniejszy rosyjski reżyser teatralny, założyciel słynnego moskiewskiego teatru "Ta Targance" - Jurij Lubimow. Pracuje gościnnie we Włoszech, przedtem w Londynie, gdzie w paru wywiadach potępił obowiązującą w ZSRR politykę kulturalną, wtrącając się partyjnych ciemiaków do spraw, na których się nie znają. Na pewno nie ujdzie mu to na sucho. Trzeci to Osip Brodski, największy bodaj współcześnie piszący po rosyjsku poeta, znakomity tłumacz /m.in. poezji polskiej/. W 1964 r. został - na mocy ustawy o zwalczaniu pasożytnictwa - skazany na pięć lat ciężkich robót. Był pasożytem, ponieważ nie wydawał go. Pod naciskiem opinii międzynarodowej jak również protestów pisarzy krajowych zwolniono go po roku, dziś wyklada na jednym z amerykańskich uniwersytetów.

Zastrzegam się: te "naj" nie są na kredyt. Wymienieni są "naj" nie dzięki temu, że wyjechali. Odwrotnie: wyjechali właśnie dlatego, że byli "naj". Twórczość artystyczna, niezależnie czy są to baletowe pasy, symfonia, rzeźba czy dzieło literackie, jest niemożliwa bez wolności, swobody poszukiwań i swobody wyrazu, autentyczna twórczość jest zawsze "dysydencka" i zbudowana przeciw zastanemu obrazowi świata.

Ten exodus inteligencji twórczej jest właściwie ratowaniem kultury rosyjskiej przed marazmem, nijakością i niszczyielskim działaniem partyjnego obskurantyzmu. Rosja kiedyś będzie tak samo dumna z Sołżenicyna i Brodskiego, jak dziś szczyli się Rachmaninowem, Strawińskim, Szalapińem czy Buninem, też

niegdys emigrantami z sowieckiej Rosji, zdecydowanie potępiającymi krwawy czerwoły reżim.

Człowiek radziecki jest wychowywany w przeświadczeniu, iż być obywatelem jego kraju to honor i szczęście najwyższe. W szkole przerabia się znany "Wiersz o radzieckim paszporcie" Włodzimierza Majakowskiego z 1929 r.

Poeta opisuje wrażenia z podróży zagranicznych, gdy jego czerwona książeczka z sierpem i młotem na okładce wywoływała niemal szek na celnikach i służbie granicznej obcych państw. Bano się go, ale i podobno mu zazdrościono. Utwór kończy się słynną puentą:

wyciągam ze spodni szerokich, przed światem
rozkładam - ładunku bezcennego fracht.
Czytajcie, zazdroście, jam - obywatel
Związku Republik Rad.

Więc szczęściem, zaszczytem i honorem, przedmiotem zazdrości cudzoziemców jest już samo bycie obywatelem ZSRR, atoli szczęście to ma charakter - by tak rzec - obiektywny, niestety nader rzadko doświadczany subiektywnie przez zainteresowaną jednostkę. Stąd też szeroka gama środków perswazji mająca na celu podniesienie poziomu świadomości obywatela, wytkumaczenie mu, jak bardzo jest szczęśliwy.

I z tego - jak mówi poeta - "becznego ładunku" nie można zrezygnować. Więzienia Kraju Rad przepełnione są dziś tymi, którzy chcieli dobrowolnie wyrzec się obywatelstwa ZSRR. Niektó-

rzy przesłali nawet swą czerwoną książeczkę na ręce sekretarza generalnego KPZR ze stosownym oświadczeniem /"Dobrowolnie zrzekam się..."/, za co natychmiast lądowali w szpitalu wariatów. Chyba słusznie, bo podobne niezrozumienie własnego szczęścia to oczywiście dewiacja psychiczna.

Opowiadają o pewnym pisarzu, który doświadczył nieszczęścia dobrowolnie przymusowego wyjazdu z kraju, a potem otrzymał dekret Rady Najwyższej ZSRR pozbawiający go obywatelstwa. Dokument oprawił w rameczki, powiesił na ścianie, a pod nim dał napis:

Czytajcie, zazdroście, jam - Nie-obywatel
Związku Republik Rad.

I cieszy się jak dziecko, pokazuje na ścianę specjalnie w tym celu zapraszany gościom. Ej, Majakowski, czemuś ty nie dożył do naszych czasów!

Jędrzej Boruta

WARUNKI I CELE

Ołbrzymia większość piszących i mówiących o sytuacji w kraju, programie działania ruchu oporu przeciw władzy, funkcjonowaniu podziemnych struktur "Solidarności" itd. jest zgodna co do jednego - tego mianowicie, że "społeczeństwo jest z nami". Jest to podstawowe założenie wszystkich znanych mi rozważań. Czy jest to założenie słuszne? Czy przypadkiem nie jest to mit - tym groźniejszy, że wszyscy weń wierzą?

Wyznawcy tego przekonania często dają wyraz swem zaskoczeniu czy nawet rozczarowaniu pewnymi faktami: a to tym, że wprowadzenie stanu wojennego nie wywołało tak powszechnego i silnego oporu na jaki liczyło kierownictwo Związku, ba opór ten był nawet o wiele mniejszy niż spodziewała się junta. To znów, że akcje protestacyjne roku 1982 miały dość ograniczony terytorialnie i społecznie charakter i trend ten narastał aż do klęski strajku z 10 listopada. Wreszcie najświeższe rozczarowanie tym, że w społeczeństwie zamiast ducha oporu, dominować zaczyna zmęczenie, wyczerpanie i wszechogarniająca bierność - emigracja w prywatność, niechęć do publicznego angażowania się po jakiegokolwiek stronie.

Sądzę, że podstawowym warunkiem rozważań nad sytuacją obecną jest zdanie sobie sprawy z tego, że społeczeństwo nie jest z nami, choć nie jest też z władzą - społeczeństwo jest z samym sobą!

Znaczący to - tyle mniej więcej, że społeczeństwo w swej masie dąży do realizacji trzech grup celów:

- a/ podstawowych potrzeb życiowych /głównie materialnych/,
- b/ bezpieczeństwa /osobistego i zbiorowego/,
- c/ samorealizacji /głównie w aspekcie jednostkowym ale także zbiorowym/.

Przy czym istnieje pewne minimum do granic którego społeczeństwo daje przyzwolenie tym, którzy są w stanie zagwarantować mu owe minimum, a popiera tych, którzy w większym stopniu gwarantują rozszerzenie realizacji tych trzech sfer ponad minimum /nazwijmy go tu minimum egzystencjalnym/.

Na pytanie co to znaczy, że społeczeństwo jest z samym sobą, należy odpowiedzieć w inny sposób, mianowicie: co to znaczy dla nas i co to znaczy dla władzy.

Dla władzy jest to przede wszystkim zagadnienie jak zapanować nad takim społeczeństwem. Kwestię z punktu widzenia władzy upraszcza jeden fakt - mianowicie władza dysponuje owym minimum egzystencjalnym i to zarówno w sensie pozytywnym jak i negatywnym - dysponuje środkami jego realizacji i ich udziela, a także może je ograniczać. Jest to podstawa panowania każdej władzy, nie mniej ważna niż dysponowanie środkami przemocy. Ktoś mógłby w tym miejscu powiedzieć, że nasz reżim nie jest w stanie zapewnić społeczeństwu minimum żąd-

nej z owych trzech sfer. Wydaje się, że tak jednak nie jest. Po pierwsze, mimo drastycznych podwyżek cen i braków w zaopatrzeniu nie panuje głód, ani nie widać na ulicach ludzi w łachmanach /poza patologicznymi wyjątkami/, a na niejednych imieninach i szynkę można zjeść. Po drugie, szaleją represje, w więzieniach siedzą tysiące więźniów sumienia, ale kto się władzy nie naraża ten czuje się bezpieczny, bo władza stwarza liczne pozory wzmożonej troski o bezpieczeństwo społeczeństwa /walka z przestępczością, spekulacją, itd./. Po trzecie, zlikwidowano i tępi się wszelkie formy artykulacji niezależnych poglądów, niezależnej aktywności zawodowej, politycznej, kulturalnej, ale z drugiej strony reżim pozwala "być sobą", samorealizować się - prywatnie, w kręgu rodziny i przyjaciół, itd. Władza więc realizuje owo minimum, ale cała sprawa w tym, że czyni to w taki sposób, iż jest to zarazem najefektywniejszy środek podporządkowania sobie społeczeństwa, według zasady: chcesz żyć - bądź uległy.

W obecnej sytuacji władza wykorzystuje tę podstawę swego panowania w sposób wyjątkowo bezwzględny. Gdy z uwagi na stan gospodarki nie może społeczeństwa przekupić, dając coś ponad minimum /z reguły w sferze pierwszej/, postanowiła pójść na absolutną pauperyzację społeczeństwa - do ostatecznej granicy minimum egzystencjalnego. Daje to jej szereg możliwości. Po pierwsze umożliwia postawienie znaku równości między egzystencją a podporządkowaniem władzy. Po drugie pozwala sprowadzić prawie całą aktywność jednostek do walki o elementarne podstawy bytu - nie starcza ani czasu ani sił do ubiegania się o wyższe wartości społeczne, polityczne czy kulturalne. Po trzecie pozwala znacznie obniżyć "próg przekupstwa" jednostek i całych grup społecznych - w tej sytuacji nie trzeba przydziałać talonów na samochoły, wystarczy dodatkowy kilogram wędliny czy butelka wódki. Generalnym celem świadomego dążenia władzy do egzystencjalnego wycieńczenia społeczeństwa jest po pierwsze wpędzenie większości w walkę o "kromkę chleba", a niektórych o przymilne zabiegi o "masełko", a wszystko przy akompaniamencie ogłupiającej propagandy "szczerzej i sprawiedliwej władzy".

Jest jeszcze jeden problem, który władza musi rozwiązać, mianowicie problem ludzi aktywnych, prężnych, wybitnie uzdolnionych, których nie jest w stanie wypalić walka o chleb, ani nie kuszą ich drobne przywileje dawane w zamian za usługi. Rozwiązanie tego problemu w teorii polityki wygląda tak, iż elita władzy umożliwia takim jednostkom awans do swego grona i tym samym je neutralizuje i wykorzystuje dla swoich celów. W naszych warunkach jest inaczej. Komunistyczna władza tkwi w zamkniętym kręgu nomenklatury i takie zabiegi są jej obce. Poszukuje więc innych rozwiązań. W latach siedemdziesiątych działano trzema drogami: a/ otwarcie kanałów indywidualnego dorabiania się /droga najpowszechniejsza/, b/ ograniczone, ale o wiele szersze niż przedtem, otwarcie na migrację zarobkową na zachód, c/ utworzenie pewnych możliwości awansu na średnie szczeble technoburokracji /droga najrzadziej stosowana/. Obecnie wachlarz możliwości został zmodyfikowany: zachowano, a nawet rozszerzono drogę indywidualnego "interesu", dla aktywnych zorientowanych na fortunę, utworzono różnego rodzaju organizacje fasadowe, dające pozory władzy i wpływu na sprawy publiczne /PRON, wronie związki itp./, a dla tych, którym

to nie wystarcza, których aspiracje sięgają dalej i głębiej, otwarto szeroko bramy więzieli.

Obok "bata egzystencjalnego" władza ma jeszcze jedną ostateczną już rezerwę, do której ucieka się ostatnio bardzo często - jest nią naga przemoc. Jest to co prawda instrument rządzenia na krótką metę skuteczny, ale o wiele mniej doskonały niż wyżej scharakteryzowane. Ale wykorzystanie do końca tej rezerwy jest nieuchronną i wcale nie odległą perspektywą naszej rzeczywistości, o ile oczywiście jej oblicze będzie w dalszym ciągu kształtowała "ludowa" władza.

Co natomiast fakt, iż "społeczeństwo jest z samym sobą" oznacza dla nas? Jak przełamać oparte na tych przesłankach panowanie reżimu?

Najbardziej radykalni szukają rozwiązania w walce zbrojnej, w powstaniu narodowym czy terrorze. Jest to wyjście zarówno niemożliwe jak i niebezpieczne i szkodliwe dla celów, które sobie stawiamy. Niektórzy sądzą, że należy dążyć do demontażu gospodarki, przyspieszyć jej krach, "im gorzej tym lepiej" - wtedy ludzie z głodu obalą władzę. Jest to wyjście godne poprzedniego, z tym, że jeszcze dodatkowo zakłada wizję społeczeństwa jako bezwolnej masy, napędzanej jedynie elementarnymi instynktami. Inni /jest ich wielu/ skłaniają się ku pogładowi, że trzeba stworzyć alternatywę dla monopolu państwa w sterowaniu minimum egzystencjalnym i w ogóle życiem społecznym, mają temu służyć niezależne systemy powiązań ekonomicznych i politycznych, wachlarz projektów jest tu szeroki: od samopomocy ekonomicznej i socjalnej do państwa podzielnego. Wydaje się jednak, że jest to w obecnych warunkach na szerszą skalę rozwiązanie niemożliwe /choćby ze względu na brak środków/. Inni jeszcze radzą trwać w biernym oporze - nie poddawać się mimo głodu i chłodu, mocą ducha przełamać kraty i kajdany. Brzmi to pięknie, lecz na dłuższą metę i szerszą skalę jest absolutną utopią.

Co więc robić? Przede wszystkim należy od nowa zdobyć społeczeństwo dla naszych celów /które są przecież jego - społeczeństwa - celami/, ale należy to czynić inaczej niż dotąd. Najskuteczniejszą z dostępnych nam ku temu dróg jest ukształtowanie nowej świadomości społecznej, zbudowanej na społecznej sympatii dla nas i niechęci dla reżimu, ale nie będącej samą sympatią czy antypatią jedynie. Trzeba zacząć od zrozumienia faktu, że dotychczasowe akty protestu, zarówno te dawniejsze, z 1956, 1970 czy te niedawne z lata 1980 /w początkowym okresie/ i po wprowadzeniu stanu wojennego, były przede wszystkim spontanicznym protestem mas, były aktami społecznymi opartymi w głównej mierze na emocjach. Akty takie wybuchają w warunkach splotu pewnych typowych przyczyn, które tu pominię, charakteryzują się spontanicznością, brakiem koordynacji, krótkotrwałością i podatnością na manipulacje. Inną jakość stanowił okres między sierpniem 1980 a grudniem 1981, a jeszcze wcześniej działalność opozycji demokratycznej. Wydaje się, że dziś trzeba powrócić do wypróbowanych wówczas rozwiązań, a także zdobyć się na nowe, dostosowane do obecnej sytuacji. Trzeba innej formuły walki z władzą, walki o cele naszego narodu, o jego tożsamość i podmiotowość, o jego przetrwanie wreszcie. Nie ta-

kiej, która jak wszystkie dotychczasowe rewolucje, wykorzystuje wzburzone emocjonalnie masy do realizacji celów znanych i rozumianych przez wąską grupę /awangardę/, ale takiej, w której emocje ustępują masowej, świadomej determinacji - determinacji walki o byt; działania pod wpływem chwili, "fali", przykładu irrych itp. ustępują działaniom wynikającym z wewnętrzznego przekonania, iż jest to jedyna droga ocalenia siebie i narodu. Jest to w odróżnieniu od emocjonalnego wybuchu walka długotrwała i znacznie mniej gwałtowna, ale bardziej zdeterminowana.

Wypalili się już emocje i odruchy spontanicznego protestu, teraz trzeba budować podstawy świadomego, wpływającego z realnych przesłanek i opartego o zrozumienie rzeczywistości ruchu. Ruchu ludzi świadomych celów i uwarunkowań ich realizacji, świadomych zarazem konieczności realizacji tych celów. Chodzi o to, by ludzie zdobyli się na działania płynące nie z odruchu, ale ze świadomego obowiązku, obrony nie interesu indywidualnego i własnej skóry, ale obrony wspólnoty narodowej, obrony wynikającej ze świadomości jej zagrożenia. Tylko taki ruch może być zdeterminowanym, przetrwać niesprzyjające okoliczności zachowując zdolność działania. Mówiąc o "zdobyciu społeczeństwa", mar na myśli przede wszystkim przeformułowanie świadomości społecznej w kierunku wskazanym wyżej.

Popularna, nie tylko wśród marksistów teza, że "byt kształtuje świadomość" nie oznacza wcale niemożności wyzwolenia się świadomości z zakłętego kręgu warunków materialno-instytucjonalnych. Cały dotychczasowy rozwój ludzkości jest dowodem tego, że człowiek mocą swojego ducha i intelektu, zmieniał warunki swej egzystencji, rozrywając kolejne zakłęte kręgi. Nie jesteśmy marionetkami, ani mechanizmami z góry zaprogramowanymi, jesteśmy twórcami swego bytu - zrozumienie jego mechanizmów i zrozumienie ku czemu nas wiedzie - to podstawa owej mocy twórczej, mocy zmiany świata na lepszy. Stąd wierzę, że społeczeństwo naprawdę będzie z nami, gdy wszyscy zrozumieją w czym tkwi istota wielowymiarowej nędzy ich bytu w obecnych warunkach. Musimy im w zrozumieniu tego dopomóc.

Aby to osiągnąć należy upowszechnić ale i przekonywująco udowodnić, znaną przecież prawdę, iż system realnego socjalizmu prowadzi nas do zguby - zguby narodowej, cywilizacyjnej i degeneracji fizycznej. Zreformować się go nie da jako takiego, gdyż jest niereformowalny, rozwijać się nie może - brak mu mechanizmów innowacyjnych, a jego stanem naturalnym jest stagnacja. Jest systemem wyniszczającym, konsumującym rezerwy własne i zewnętrzne, aż do ostatecznej jaką jest fizyczna eksploatacja drogą przemocy. Wiele wskazuje na to, że czeka nas niebawem zejście poniżej granicy minimum egzystencjalnego, a jedyną formą ratunku która nas w perspektywie oczekuje jest ta, która opiera się na owej ostatniej rezerwie realnego socjalizmu - nagiej przemocy - czyli powrót do ustroju niewolniczego, którego pierwiastki już zaczynają kiełkować wokół nas. Jedynie co w tej sytuacji pozostaje to tak dalece zmienić system, aby zatracił swe konstytutywne właściwości bądź wręcz go obalić. Wtedy dopiero można myśleć o realizacji pozytywnych celów - budowie nowego społeczeństwa.

Pierwszym celem naszej walki winno być więc pozyskanie jak najszerszych rzesz społeczeństwa dla ogólnonarodowego ruchu, poprzez budowanie świadomości zdeterminowanej niezgody na życie w ucisku i wymuszonej nędzy. Osiągnięcie tego celu stworzy dopiero warunki do realizacji następnego etapu walki o samorządną, demokratyczną Polskę - sparaliżowania i obalenia obecnej dyktatury.

Batalia o świadomość każdego człowieka jest w tej chwili najważniejsza, doskonale zdaje sobie z tego sprawę władza, czyniąc z propagandy, manipulacji informacją i opinią główny front starcia z niezależnymi siłami społecznymi. Powstaje pytanie jak tę walkę prowadzić. Jej podstawą musi być intensywna i powszechna praca organiczna - samokształcenie, oświata, propaganda, zorientowana na ukształtowanie w społeczeństwie świadomości, że nie ma innej drogi niż radykalna zmiana obecnego systemu. Alternatywą tej drogi może być coraz to szybsze staczenie się naszego narodu do roli niewolników, coraz bardziej ciemnionych przez namiestników obcego mocarstwa. Świadomość tę musimy ukształtować tak, by wynikała ona z wiedzy, rozeznania warunków i kierunków ich rozwoju, by rodziła jako nieuchronną konsekwencję - działania w celu samoobrony.

Treścią działalności samokształceniowej, informacyjnej i propagandowej winno być ukazywanie czym jest reżim i do czego w efekcie musi nas doprowadzić /nawet wbrew intencjom/. Potrzebne jest w jeszcze większej mierze niż obecnie ukazywanie istniejących w każdym z elementów naszej rzeczywistości zagrożeń i katastroficznych perspektyw, ukazywanie mechanizmów funkcjonowania realnego socjalizmu. Podstawową formą propagandy winno być demaskowanie wszelkich posunięć reżimu, poprzez ukazywanie czemu naprawdę służą i ku czemu w efekcie prowadzą. Musi się to łączyć na bieżąco ze wskazywaniem alternatywnych rozwiązań jako elementów programu pozytywnego proponowanego przez nasz ruch.

Niezwykle istotną rzeczą jest niezależny front oświaty i samokształcenia, przede wszystkim edukacji historycznej i socjologiczno-politycznej. Realizowany być winien we wszystkich środowiskach społecznych, przede wszystkim wśród robotników i młodzieży. Do jego funkcjonowania konieczna jest mobilizacja środowisk inteligentnych, co nie powinno być bardzo trudne, zważywszy istniejącą w nich sprzyjającą atmosferę. Bodaj najważniejszą formą pracy w chwili obecnej jest działalność wydawnicza. Chodzi tu zarówno o wydawanie niezależnej prasy, jak i o niezależną literaturę, a również, co bardzo ważne, o periodyki i wydawnictwa o charakterze samokształceniowym. Należy również stworzyć możliwości dla szybkiego reagowania na różne posunięcia władzy przy pomocy demaskujących je publikacji, druków ulotnych itp.

Sprawa ram strukturalnych tej działalności nie jest najistotniejsza. Struktury powinny być wypadkową celów i warunków, jakie w danym miejscu i czasie panują. Struktury te powinny w większym stopniu pełnić rolę centrów opiniotwórczych niż hierarchii organizacyjnej, choć ta też jest konieczna dla rozegrania finału, ale to już dalsza perspektywa i inny front działania.

Upodlającą niewolę egzystencjalną, połączoną z nagą przemocą policyjnego państwa obcych namiestników można przełamać /nawet wobec znanych uwarunkowań geopolitycznych/. Może tego dokonać s p o k e - c z e i s t w o ś w i a d o m e swego miejsca, roli i perspektyw, zjednoczone na gruncie tej świadomości. Wymaga to po pierwsze powszechnej świadomości rzeczywistego oblicza realnego socjalizmu, a po drugie - wizji alternatywnej Polski: wolnej, demokratycznej i samorządnej. Na dziś ważniejszym wydaje się ów pierwszy wymiar, ale bez drugiego traci swój rzeczywisty sens.

"132"

ROZMYŚLANIA Z OKAZJI JUBILEUSZU

Jeszcze za prezydentury Johna Kennedy'ego podpisano pierwszy kontrakt na dostawę amerykańskiego zboża do ZSRR. W 1963 roku minęło właśnie 20 lat od tego znamiennego wydarzenia, nad którym warto trochę pomedytować. Najpierw jednak podstawowe fakty.

W programie KPZR przyjętym na XXII zjeździe w 1961 roku stwierdzono, iż Kraj Rad wkrótce wyprzedzi USA w produkcji rolnej na głowę ludności. Stać się to miało do 1971 roku. Popatrzmy więc, jak w świetle tych prognoz rozwijała się dynamika przywozu zboża z USA. W 1963 r. zakupiono 6 mln ton, w 69 r. - ponad 7, w 72 - trzy razy więcej, bo 22, trzy lata później było 26, w 73 - 31, a w 1982 - 46 mln. Pamiętać musimy przy tym, iż USA to nie jedyny, choć największy, dostawca zboża dla ZSRR. Zakupowano również ziarno w Kanadzie, Australii i Argentynie. Jednakże Ameryka jest tu najważniejsza, bowiem ona miała być wyprzedzana przez budujący komunizm Związek Radziecki. Jak widzimy, tempo owego "wyprzedzania" było imponujące i rytmiczne, w zgodzie z zasadami socjalistycznego planowania. Handel ten przyjął charakter wieloletnich kontraktów, bo i sami Ame-

rykanie są nim zainteresowani. Na marginesie anegdota. Stan Kansas to znany w USA rejon rolniczy. Na jednej z autostrad wiodących do niego można podobno przeczytać napis: "Witamy w Kansasie - spichlerzu ZSRR".

Sukoesy radzieckiego rolnictwa mają jednak mniej zabawną stronę, podnoszą cenę zboża na rynkach międzynarodowych, zwiększając tym samym jego niedostępność dla głodujących obszarów Trzeciego Świata. W ten sposób zdaje się potwierdzać prawda, iż - jak to bezustannie przypomina prasa radziecka - "oczy naródów całego świata z nadzieją kierują się na ZSRR". Wypatrują chyba, ile też Amerykanie mogą im dać zboża po zakupach dokonanych u nich przez Związek Radziecki.

Trudno dzisiaj uwierzyć w to, ale kraj, który obecnie jest największym światowym importérem zboża był niegdyś jego największym eksporterem. Rosja przed i po 1917 roku to ten sam kraj w sensie potencjału zasobów, warunków naturalnych, glebowych i klimatycznych, ale różny pod względem racjonalnego ich wykorzystania, co zależy od ustroju społeczno-politycznego. Carska Rosja była spichlerzem dla wielu krajów; rosyjskim masłem smarowali swój chleb Kanadyjczycy, prawdziwymi potentatami zbożowymi był nie tylko chochoł z żytniej Ukrainy, ale i brodaty syberyjski muzyk. W 1913

roku na Mo zu Czarnym doliczono się ponad 300 okrętów obcych bander przyprływających tu po rosyjską pszenicę. Radziecka władza skończyła z tą praktyką raz na zawsze, a ci co produkowali zboże nie tylko dla siebie skończyli marnie: albo od kuli bohater-skich czekistów, z głodu lub od mrozów na dalekiej północy. Odtąd chroniczny niedostatek żywności przybierający kilkakrotnie już postać głodu jest stałym zjawiskiem w kraju zwycięskiego socjalizmu.

Kolektywizacja rolnictwa była jak na razie jedynym uwieńczonym pełnym sukcesem eksperymentem wychowawczym socjalizmu, doprowadziła do ukształtowania człowieka nowego typu. Kołchoźnik radziecki idealnie spełnia te warunki: nie jest przywiązany do własności indywidualnej, pracuje tylko pod batem, a potrzeby duchowe ogranicza do picia wody. Wprawdzie pożytek produkcyjny raczej z niego średni, ale za to nie stanowi najmniejszego zagrożenia dla ustroju, bo człowiek pijany nie myśli, a niemyśląca jednostka to najpewniejszy filar socjalizmu.

Jubileuszowa laurka nie powinna ograniczać się tylko do suchej empirii: statystyki, cyfr, faktów, dat. Konieczna jest am-

bitniejsza podbudowa teoretyczna, bo przecie nie samym chlebem, lecz wszelkim słowem, które od partii idzie, człowiek powinien się żywić. Stokroć chyba ważniejsze od jedzenia /dla prostych ludzi oczywiście/ powinny być pryncypia, a te mówią wyraźnie, iż gospodarka ZSRR, mimo "pewnych" braków, jest nieporównanie bardziej postępową aniżeli gospodarka USA i innych krajów kapitalistycznych. Rolnictwo też. Dowód? Bardzo proszę - cytata z Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. W tomie I-szym /ss 366-367 - hasło "Agronomia"/ czytamy: "Prawdziwy rozkwit agronomii nastąpił po Wielkiej Rewolucji Październikowej i zwycięstwie systemu kołchozowego. W ZSRR powstała nowa radziecka agronomia, zbudowana na podstawach wielkiej rewolucyjnej nauki marksistowsko-leninowskiej, opierająca się na nie mających precedensu w historii rolnictwa doświadczeniach kołchozów i sowchozów. Radziecka agronomia jest najbardziej postępową na świecie. Burżuazyjna agronomia Europy Zachodniej i Ameryki, jako niezdolna do szerokich teoretycznych uogólnień, ulega całkowitemu rozkładowi."

Jaką więc z tego jubileuszu można wyciągnąć lekcję? Chyba tylko taką: grunt to szerokie teoretyczne uogólnienia.

ST

P o t w i e r d z a m y w p ł a t y : 0000 - 10.600,- zł, Wolność - 3.000,-zł, xxx - 300,- zł, Facet - 100,- zł. Dziękujemy.

Z uwagi na wzrost objętości pisma i związany z tym wzrost kosztów druku, papieru itd. następuje zmiana ceny pisma na 71 + 9 zł. W przypadku ponownego zmniejszenia objętości, ulegnie zmianie /obniżeniu/ i jego cena. Orientacyjny przelicznik kosztów na stronę druku wynosi 2 zł formatu A-5 przy publikacjach prasowych i 2 zł za stronę w formacie A-6 przy publikacjach książkowych /wzrost kosztów związany z oprawą intro-ligatorską/.

BUDYNIE NIE PRZED FOTOREM...